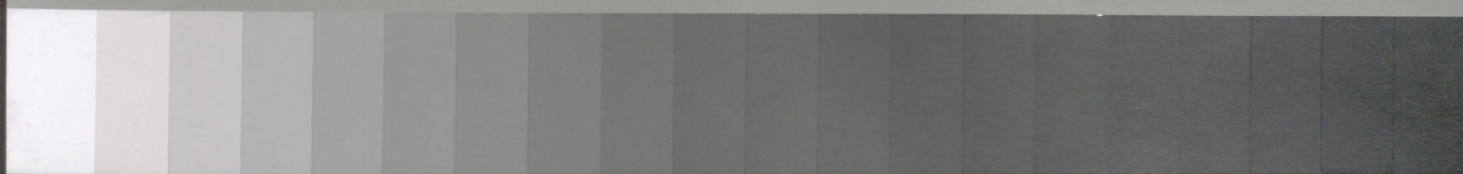


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19











GENERAL JAN JACYNA.



1918 — 1923

W WOLNEJ POLSCE



**TEGOŻ AUTORA**

Trzydzieści lat w stolicy Rosji (1888 — 1918).  
Wspomnienia.



General JAN JACYNA

1918 — 1923  
**W WOLNEJ POLSCE**

PRZEŻYCIA



WARSZAWA — 1927



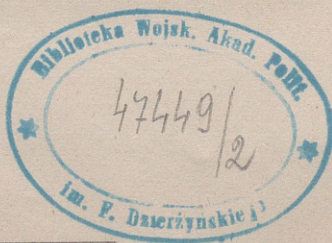
92 : 323 (438)

ANNUAL, 1918-1919

1918 — 1919

WOLNICKI, L.

PRZESYŁA



DRUKARNIA L. WOLNICKIEGO  
WARSZAWA, POZNAŃSKA № 29



## PRZEDMOWA

Pierwsza część moich „Wspomnień” zawierająca 30 letni okres mojego pobytu w Petersburgu, była przyjęta życzliwie tak przez społeczeństwo jak i przez krytykę.

Przystępując obecnie do ogłoszenia wspomnień o przeżyciach po powrocie do kraju, uświadamiam sobie całą trudność wykonania tej pracy: bo co innego pisać o latach dawno minionych, spędzonych wśród społeczeństwa obcego, a co innego o sprawach swojego kraju, a więc o tam wszystkim co człowieka porывało, wzruszało, dręczyło...

Jednakże czynię to, bo uważam że podobne szkicowe nawet wspomnienia, mogą w przyszłości posłużyć za materiał dla historycznego ujęcia całokształtu przeżyć naszego Narodu...

Siłą warunków dziejowych do rozbudowy naszej państwowości stanęli ludzie nie tylko najsłabszych poglądów ale i różnej kultury: po za stale osiadłą w kraju ludnością znaleźli się przybyli z byłych zaborów i emigranci; każda z grup miała nie tylko odrębną po części ideologję, ale i inne poglądy na zasadnicze sprawy. Powstają więc nieporozumienia, zgrzyty i chęć otaczania się „swoimi”.



Zastanawiając się obecnie nad całokształtem kilkuletniej zbiorowej pracy, trudno odpowiedzieć dokładnie: czy w te pierwszelaata budowaliśmy wszyscy wspólnie śpiżowe podwaliny Wielkiej Polski czy — wieżę Babel?

Każdy przyzna, że w tym okresie było sporo szlachetnej ideowej pracy jednostek, ale jednocześnie panowało partyjne zacietrzewienie, zarozumiałość, karykaturalne ambicje, karjerowiczostwo; odpowiedzialne stanowiska zajmowały nieraz miernoty lub „rekiny”.

Mam wrażenie, że w naszej pracy państwowej nie było skoordynowania pracy i nie było wspólnego zrozumienia wytycznych na dłuższą metę.

I w innych krajach toczą się zacięte walki partyjne, ale czerwoną nicią przewija wycucie i zrozumienie przez ogrom społeczeństwa całokształtu zagadnień narodowych i tego wycucia nam często brakowało — i brakuje...

Rozpoczęliśmy nasze życie Państwowe na zbyt wielką skalę, nie liczone się z tem, że przez cały czas trwania wszechświatowej wojny, kraj był ekonomicznie rujnowany przez okupantów; stworzono zbyt wiele urzędów i placówek — powstała dyktatura biurokracji, składającej się w znacznej części z przygodnych wykonawców, bardzo często nie znających potrzeb własnego kraju, zastępujących wiedzę fachową i doświadczenie tupetem i dobrymi chęciami.

Przychodzący do steru, często na bardzo krótko, „nowi ludzie” tak zaabsorbowani osobistymi lub partyjnymi sprawami, że nie mają ani czasu, ani chęci, wdawać się w „drobiazgi biurokratyczne”.

Wynikiem tego chaotycznego okresu staje się ekonomiczny kryzys w kraju i nie tylko w rolnictwie



### III

i przemyśle, ale ogólny, który trwać będzie tak długo, dopóki nie nastąpi zrozumienie i skoordynowanie wspólnej pracy całego społeczeństwa.

Pozatem chyba nigdzie niema tytułu „dygnitarzy” i takiego „Wersalu” we wzajemnych tytułowaniach, jak obecnie w „demokratycznej” Polsce.

Za naszych dziadów kardynalną cechą stosunków towarzyskich w sferach szlacheckich było pytanie — kto rodzi, teraz zaś: jakie ma stanowisko i tytuł, który pozostaje dziedzicznym na zawsze. Od chwili uzyskania niepodległości już kilkaset obywateli ma dożywotni tytuł ministrów, w urzędach najniższą rangą służbową jest tytuł „Pan Naczelnik”, nawet i stróż domowy upomina się o należyty mu tytuł „Pana Dozorcy”.

We wzajemnych stosunkach zbyt dużo jest ckliwej słodyczy, serwilizmu, pod którymi często kryją się zazdrość i wzajemna niechęć.

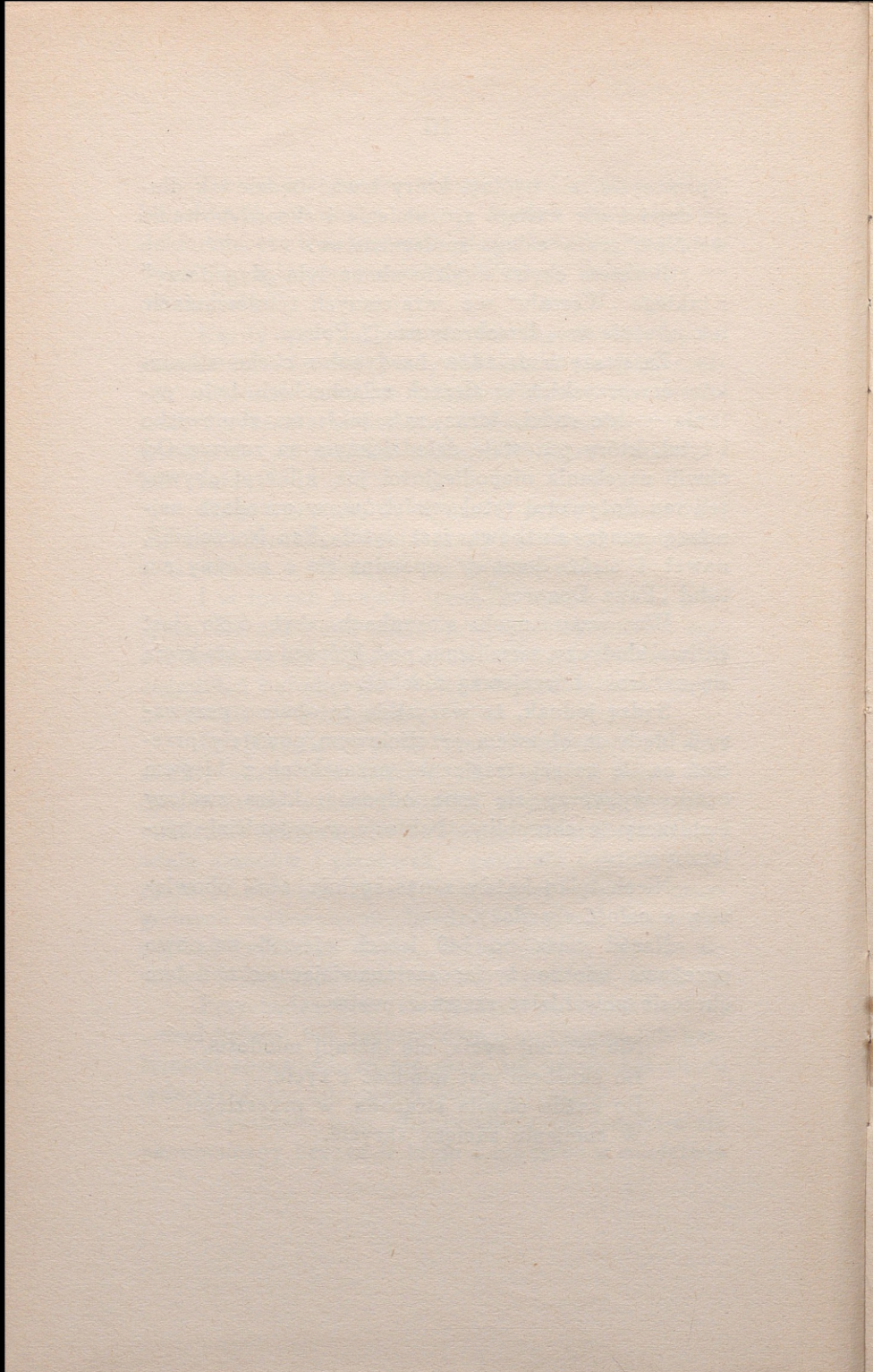
Sądzę jednak, że wszystkie te obecne przywary i błędy są objawem przejściowym, powstały przecież na tle naszej tragicznej przeszłości; z biegiem czasu wytworzy się moc odporna, która zwalczy i zniszczy te chorobliwe bakterje w organizmie społecznym.

Niech tylko każdy z nas spełnia swój obowiązek, a całość się złoży.

Naród nasz po 140 latach niewoli na nowo przeżywa wiosnę życia; zastanawiając się nad tem chce się powiedzieć razem z poetą:

Nie marnuj życia, nie marnuj młodości,  
Bo skarbem jest młodość i życie,  
Bo każda chwila stracona, w przeszłości  
W sumieniu zacięży skrycie.







## I.

## Rok 1918.

21 lipca 1918 r. przyjechaliśmy do Pskowa. 17 miesięczny pobyt w zrewolucjonowanej i zalanej krwią sowieckiej Rosji — staje się już koszmarnym wspomnieniem, minioną przeszłością...

Trudno opisać błogie uczucie ciszy i spokoju, jakiego doznaliśmy przez parę dni naszego pobytu w Pskowie — nerwy odpoczęły od stałego napięcia.

Aby otrzymać pozwolenie na dalszy wyjazd do Warszawy należało przedstawić dwa zaświadczenia: o zaszczepieniu ospy i wzięciu dezynfekcyjnej kąpieli (te ostatnie miało bardzo nieestetyczny tytuł „świadcstwo od odwszenia”). Ospę zaszczepiliśmy a drugie świadectwo otrzymałem od osoby „niewidzialnej”, u której zobaczyłem tylko galonowy rękaw, a stało się to tak: poinformowano mnie, że świadectwo otrzymam, o ile w wskazanym gmachu rządowym, złożę w otwartym na dole oknie, nazwiska osób i — datkę pieniężną. Gdym to uczynił tajemnicza ręka podała mi przez okno potrzebne zaświadczenie.

Od Pskowa do Dynaburga jechaliśmy nocą w wagonie towarowym, od Dynaburga mieliśmy już „sznell-zug” nawet z wagonem restauracyjnym.



Przed oczyma przesuwa się tak dobrze znany od najmłodszych lat dziecinnych rodzimy krajobraz, ale jaki zmieniony!

Widać rowy, nasypy, spalone budynki i ludność jak by się pochowała, dużo ziemi leży odłogiem, na stacjach nie słysząc swoistego w tych okolicach, krzykliwego szwargotu ruchliwej łapserdakowej „mniejszości narodowej”.

Rzewność owładnęła mną w Białymstoku, gdym zobaczył transport naszych legionistów i patrząc na nich nasuwa się myśl, czy wśród tych miłych chłopaków niema żołnierzy z naszego pierwszego korpusu, który w Bobrujsku rozbroili Niemcy.

Przyjechalśmy do Warszawy dość późnym wieczorem, na stacji czekała kareta z Bristolu. W drodze z dworca do hotelu nie zauważyłem nic szczególnego — na razie miałem wrażenie, że to ta sama „przedwojenna” Warszawa, tylko zamiast żandarmerów i kozaków widać „pikelhauby”.

Otrzymaliśmy dwa pokoje, ale nieco za „wesoło”, gdyż prawie przez całą noc dochodziły do nas stłumione odłósy hałasów i muzyki — okazało się później, że pokoje nasze mieściły się nad gabinetami gdzie przedstawiciele „młodej Polski”, w gronie płci pięknej, przy kartach i winie — używali na umór aż do rana.

Bądź co bądź, czuliśmy się szczęśliwi, że jesteśmy już wśród swoich, u siebie w kraju i że następuje nowa era w naszym życiu, że — „życie zaczyna się jutro”.

W rzeczywistości te „jutro” nastąpiło dopiero po 3½ miesiącach — z chwilą ucieczki okupantów z Warszawy, bo przeżyć naszych w Warszawie od



Sierpnia do Listopada nie mogę zaliczyć, ani do zajmujących ani do przyjemnych.

Po pierwszych tygodniach wypoczynku zaczęło być coraz smutniej pod wpływem beczynności i ogólnego przygnębienia. Miałem w tym czasie wrażenie że zamknięto mnie w łodzi podwodnej do której aparaty wysyłają coraz mniej świeżego powietrza. Miałem wrażenie, że po za cynicznym znęcaniem się nad ludnością i rabusiowym wyzyskiem ekonomicznym, cały okupowany kraj jest pod prasą hydrauliczną, którą ktoś coraz mocniej śrubuje.

Choć Polska nie prowadziła wojny z Państwami centralnemi słyszał się w całym kraju szept: „biada zwyciężonym“...

Okupanci tak umiejętnie hypnotyzowali większą część ludności i nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju, że w Listopadzie, kiedy w Berlinie zdezonizowano dynastję i rządy przeszły do „Rad Żołnierskich” — mechanizm biurokratyczny okupantów kręcił się jak by nic nie zaszło.

Generał Gubernator Warszawski Beseller ze swoim sztabem ucieka z Warszawy w noc z niedzieli na poniedziałek (10 Listopada), w sobotę urzędują zwykłym trybem wszystkie urzędy niemieckie, mało tego: w niedzielę 10 Listopada byliśmy z żoną na przyjęciu, gdzie był pułkownik służby austriackiej (p. Konrad), zajmujący jakieś wybitniejsze stanowisko przy Besellerze, bawił on panie beztróską rozmową do późnego wieczora...

W prowincjach okupowanych przez władze austriackie (Kraków, Lublin) było trochę inaczej — tam już od pierwszych dni Listopada zaczyna się odbieranie od władz okupacyjnych amunicji i usuwanie ich z urzędów.



Przez cały czas okupacji cenzura była niesłychanie ostra, ostrzejsza jak za czasów rosyjskich. Okupanci wspierali finansowo dziennik „Godzina Polski”, którą nazywano powszechnie „Gadzina Polska”.

Chociaż formalnie Państwa Centralne ubiegając się o sympatię narodu Polskiego i rywalizując w tem z Państwami Ententy, ogłosiły jeszcze w Listopadzie 1915 r. „Wolną Polskę” i choć mieliśmy — regentów, ministrów i radę stanu co — od ocular — wyglądało nawet efektownie w rzeczywistości były to tylko zewnętrzne pozory. Po za szkolnictwem i sądownictwem wszędzie dawał się we znaki despotyzm władz okupantów.

Niemcom szło o to żeby z Polski wywozić wszystkie zapasy żywnościowe i wywozili je nawet przymocą, zatem chodziło im o wywóz do Niemiec maszyn fabrycznych i metali — i w tem nie było sprzeciwu, ale szło im i — o polskiego żołnierza — ale z tem się nie udało...

Regentów było 3-ch: Arcybiskup Warszawski A. Kakowski, książę Z. Lubomirski i hr. J. Ostrowski, urząd kanclerza spełniał ks. prałat Chelmicki, inteligentny i zręczny dyplomata.

Większość społeczeństwa miała za złe regentom ich uległość względem władz niemieckich, i tem sobie tłumaczyłem, że wyznaczone na 3 Września otwarcie jesiennej sesji Rady Stanu nie dochodzi do skutku z powodu braku „quorum”. Osobiście byłem tem nieprzyjemnie zaskoczonym, gdyż w tym czasie zakończyłem poręczony mi przez p. ministra Mikułowskiego pracę ułożenie projektu poboru do wojska, który miał iść na rozpatrzenie do Rady Stanu. Dla opracowania projektu zaprosiłem do współ-



pracy kilku fachowców wojskowych i dałem projekt do zaopiniowania Generałowi Józefowi Dowbór Muśnickiemu.

Przesyłając projekt na ręce ministra zaznaczyłem jednogłośnie opinię całej komisji, że w Polsce nie będzie prawdziwej siły zbrojnej tak długo, dopóki do kierownictwa w tych sprawach nie zostaną powołani fachowcy, a na kierowniczych stanowiskach będą pozostawać dyletanci, chociażby przejęci „nalepszymi chęciami”.

W tym że okresie dochodzi do Warszawy wiadomość że w niemieckiej kwaterze głównej, zdecydowano dać przyszłej Polsce króla w osobie arcyksięcia Stefana Habsburga.

Bez względu na ostrą cenzurę, stawalo się widocznem że Państwa centralne są w przededniu katastrofy. Krążą wieści, że Austria chce zawrzeć oddzielny pokój, że Węgry, Bułgarja, a następnie i Turcja — chcą się poddać na łaskę i nie łaskę Ententy.

W początkach Października książę Max Badeński — ostatni premier cesarskich Niemiec — zwraca się do Prezydenta Stanów Zjednoczonych z propozycjami pokojowemi.

Nadchodzi odpowiedź — przedewszystkiem groźna dla panującej dynastji, bo Ententa zgadza się rozpocząć pertraktacje, ale wymaga czynny: natychmiastowe oswobodzenie terytorjów Francji i Belgji zajętych przez armje niemieckie, i uzasadnień że propozycje te idą od ludu, a nie tylko od sfer rządowych.

Niemcy są zmuszone uleść tym wymaganiom.

Na zegarze dziejowym wybijają ostatnie godziny dynastji Hohenzolernów i Habsburgów, jak 20 miesięcy temu — dynastji Romanowych.



11 Listopada w obozie przy kwaterze głównej marszałka Focha, ostatni raz trębacz daje sygnał rozpoczęcia ognia — ale strzały armatnie pierwszy raz po 52 miesiącach nie niosą śmierć i zgubę, a są radosną salwą, komunikującą nie tylko wojskom Ententy ale całemu światu, że trwający bez przerwy, przez 4 z górą lata, przelew krwi ludzkiej zakończył się...

Miljony zabitych spoczywają, na placach walk i w głębinach morskich; pozostały zastępy kalek niezdolnych do pracy, sieroty, wdowy...

Do chwili obecnej idzie polemika, kto był głównym winowajcą tego ogólnego nieszczęścia?..

Wilhelm abdykował 7 Listopada i uciekł z Niemiec.

W Warszawie dzień za dniem przynosił coś nowego.

4 Listopada Rada Regencyjna powołuje nowy gabinet z premierem p. Świeżyńskim na czele (znałem go jeszcze jako posła Dumy rosyjskiej). Sprawy wojskowe w tym gabinecie mają być powierzone komendantowi J. Piłsudskiemu po jego powrocie z fortecy Magdeburskiej, gdzie J. Piłsudski i były szef jego sztabu Sosnkowski, byli uwięzieni od dłuższego czasu.

Żywot tego gabinetu był krótkotrwały — skończył się po 10 dniach.

I prawica (endecja) i lewica (P. P. S.) jeszcze w Październiku proponowały Radzie Regencyjnej podać się do dymisji i abdykować na rzecz Rady Narodowej.

6 Listopada młodzież szkół wyższych zbiera się przed zamkiem z okrzykami „precz z Regencją”, oświadczając jednocześnie że wszyscy wstępują do

wojska. Przez całe dnie tłumy publiczności zalegają ulice Warszawy, a 9 i 10 Listopada, kiedy oczekiwano powrotu Komendanta Piłsudskiego, w sąsiedztwie dworca Warszawskiego, przez cały dzień tłumy oczekiwały nadejścia pociągu. Komendant przyjechał 10-go samochodem i zamieszkał na razie w prywatnym mieszkaniu na ulicy Moniuszki; ponieważ mieszkaliśmy w pensjonacie Goplana, którego balkon wychodzi na Plac Warecki, mogliśmy obserwować tłumy cisnące się do mieszkania Komendanta.

Piłsudski wchodzi w kontakt z Regentami i natychmiast obejmuje kierownictwo spraw wojskowych.

Od rana 11 Listopada rozpoczyna się w Warszawie — a jednocześnie i w całym kraju — żywiołowe rozbrowienie Niemców.

Zachodzi coś wprost niezrozumiałego — bezbronna ludność i nawet podrostki rozbijają uzbrojonych żołnierzy i oficerów niemieckich, którzy bez żadnego sprzeciwu porzucają broń i amunicję.

Ten objaw masowej psychozy uzbrojonego wojska tłumaczyłem sobie tem, że zaszło zjawisko, któremu ulega mocno zahartowane szkło, opierające się mocnym uderzeniom młota, a rozsypujące się w najdrobniejsze kawałki, z chwilą kiedy zewnętrzna zahartowana skorupa zostanie rozdrapaną chociażby cienką ostrą igłą. Tak raptownie pękł i rozsypał się „militaryzm” niemiecki, z chwilą kiedy dziejowe wypadki nadwyrężyły zewnętrzną skorupę tego kolosa, któremu brakło wewnętrznej spójni...

Warszawa jest przez kilka dni odcięta od świata, telegrafy i telefony są nieczynne.

Komuniści próbują wywołać zamęt i rozruchy na ulicach Warszawy — ale wszystkie ich próby



spełzają na niczem, z powodu wrogiej postawy ludności.

W Krakowie tworzy się rząd tymczasowy o tendencjach prawicowych, a w Lublinie powstaje rząd lewicowy.

14 Listopada Regenci abdykują, upada i gabinet. Władzę w Warszawie i całym kraju obejmuje Komendant Józef Piłsudski, który ogłasza „Tymczasową Rzeczpospolitą Polską” i zapowiada wybory do Sejmu Narodowego.

Pierwszy gabinet tworzą Moraczewski (premjer) i Daszyński (vice premjer) z członkami polskiej partji socjalistycznej (P. P. S.)

Pierwszy nawskroś socjalistyczny gabinet wywołuje w Warszawie i całym kraju rozczarowanie i gorycz. W prasie pojawiają się protesty niezadowolonych partyj. W niedzielę 17 Listopada demonstruje w Warszawie pochód Narodowy przeciw nowemu gabinetowi. Brałem w nim również udział i byłem świadkiem jak przed pałacem Kronenberga, w którym wtedy urzędował gabinet, tłum gwizdząc i krzycząc nie dał dojść do słowa Daszyńskiemu. Spędziłem wtedy w pochodzie kilka godzin i skonstatowałem, że ogólny nastrój tłumu był w gruncie rzeczy dostojny i poważny, wyczuwało się w nim radość, miłość i przywiązanie do kraju i nienawiść do anarchji i komunizmu.

Warszawiacy są słynni z dowcipu: wkrótce, więc w klubach i salonach, zaczęło krążyć sporo anegdot o nowych ministrach, oto jedna z nich: na pierwszej radzie nowowybranych ministrów, niektórzy z nich byli zaskoczeni niezrozumiałemi dla nich wyrazami jak „kilogram” i „centymetr” i wymagano od referentów żeby im wytłumaczono co to jest?

Gabinet Moraczewskiego potrwiał zaledwie parę miesięcy, ale zdążył wprowadzić zamęt i pozostawił po sobie smutną pamięć.

U steru stali przeważnie doktrynerzy, fanatycy, nie zdolni do ujęcia całokształtu zagadnień państwowych, a traktujące sprawy tylko z partyjnego punktu widzenia.

Powtarza się to i potem: w ciągu 8 lat zmienilo się około 18 gabinetów, dochodziła do władzy i prawica i tak samo traktowała sprawy Państwowe często z punktu widzenia — własnego podwórka.

Opowiedział mi ks. prałat Chełmicki, że kiedy jeden z byłych regentów zapytał Komendanta Piłsudskiego, dlaczego powołał do pierwszego rządu samych socjalistów, ten miał odpowiedzieć, że uważał za zbawienie dla kraju zaszczerpić społeczeństwu socjalizm, aby ratować się od zarazy komunistycznej, tak jak w okresie epidemji wstrzykuje się szczepionkę ochronną, która na razie wywołuje podniesienie temperatury i bóle — ale ratuje organizm od zarazy.

Gorączkowy stan dał się społeczeństwu we znaki bardzo namacalnie i nie tylko w samej Warszawie, ale i całym kraju, temperatura organizmu społecznego była w tym czasie stale podniesioną. Kraj zalewa fala strajków — kolejno i wspólnie strejkują: służba folwarczna, kolejarze, tramwajarze, zecerzy, usługa w szpitalach, stróże domowi, kelnerzy, poczta i t. p.

Nie strejkują tylko nasi nowi dygnitarze wszystkich szczebli, którzy obdarzają kraj foljami zarządzeń, ustaw, ułożonych przeważnie na kolanie i wzajemnie nietylko nie skoordynowanych, ale czasami i sprzecznych, ale za to pełnych rozmachu.



Rozbudowa Państwowości rozpoczyna się na wielką skalę, mało kto liczy się z tem, że skarb jest pusty, o płaceniu jakichkolwiek podatków nikt nie chce wprost myśleć. Mierzy się poprostu siły na zamiary.

Szumne kaskady wód wiosennych w zmartwychwstałej Polsce pomknęły szybko, następuje reakcja: znaczną część społeczeństwa powoli ogarnia depresja, rozgoryczenie i strach przed niepewnem „jutrem”.

Jednocześnie dla każdego kto głębiej wnikał w bieg wypadków, nie było czasu „na bezowocne zadumy”, bo do drzwi coraz natarczywiej pukali sąsiedzi.

Rząd sowiecki w miarę likwidowania spraw z armjami Denikina, Judenicza i Wrangla, coraz intensywniej zalewa Polskę propagandą komunistyczną, nie szczędząc środków materialnych. Rubel rosyjski szuka lokaty wszędzie i wszędzie próbuje wzniecić pożar komunistyczny.

Zachodni zaś sąsiad nie może przeboleć straty Poznania i Pomorza, a wreszcie i części Śląska, rozgłasza że Polska jest — „Państwem sezonowem.”

Korzystają ze sposobności i Czechy, żeby coś w tym chaosie zagarnąć.

Dzięki zabiegom naszych wrogów Litwa, która wspólnie z Polską przez 140 lat jęczała pod jarzmem rosyjskiem staje się naszym nieprzejdnanym wrogiem zaciętym. Trwa to do dziś dnia, dzięki temu, że kraj przed wojną nawskrość katolicki z inteligencją ziemiańską polską, obecnie jest narzędziem rosyjskiego rządu sowieckiego i Niemców, którym bardzo zależy na tem, żeby nie doszło do porozumienia między Polską a Litwą.

Będąc w 1923 r. na osobistej audjencji u Ojca Świętego papieża Piusa XI, odpowiadając na jego

zapytanie o szczegółach działalności zabitego przez bolszewików ks. prałata Konstantego Budkiewicza, którego znałem dobrze; skorzystałem ze sposobności i opowiedziałem mu o smutku i oburzeniu, które ogarnia większość ludności katolickiej w Polsce, z tego powodu, że na Litwie i duchowieństwo katolickie idzie po linii wskazanej przez komunistów rosyjskich, którzy są ideowemi wrogami zasad religji katolickiej i którzy urbi et orbi ogłaszają, że religja to trucizna dla ludu.

Po za Francją i Wilsonem nie mieliśmy stałych sympatyków politycznych, bo co do Anglii to od pierwszych chwil naszej Państwowości wyczuwa się pewną oschłość w traktowaniu naszych spraw. Tłómaczyłem sobie to tem, że potężna Polska nie zbyt odpowiada wiekowym wytycznym polityki angielskiego rządu, dla której Francja i nadal pozostaje rywalem o hegemonję wszechświatową. W interesach Anglii było osłabienie na dłuższy okres potęgi niemieckiej, jak również i Rosji, ale stworzenie nowych silnych mocarstw na wschodzie, które mogą być sojusznikami Francji, nie zbyt leży im na sercu.

A pozatem my wcale nie próbowaliśmy poważnie i rzeczowo zainteresować naszym rynkiem kapitalistów i przemysłowców angielskich...

Nasuwało się pytanie od czego rozpocząć Państwową pracę rozbudowy Państwa?

Każdy z nas orjentował się w tem, że należy za wszelką cenę, nie zwlekając ani chwili, dążyć do stworzenia w najkrótszym okresie — armji narodowej—silnej przede wszystkim duchem. Podwalinami takiej armji muszą być praca i porządek.

Kto z nas nie rwał się wtedy z młodzieńczym





zapałem do pracy, bez względu na ilość przeżytych wiosen, poorane czoło i siwą głowę...

W pierwszych dniach Listopada złożyłem podanie do Regencji, ofiarując swoją pracę, odpowiadzi na razie nie miałem i dopiero 22 Listopada kierownik ministerstwa wojny p. pułkownik Wroczyński poprosił mnie urzędowo; bym wziął udział w organizacji Departamentu Szkolnictwa Wojskowego i przybyć w tym celu na posiedzenie, które miało się odbyć nazajutrz na Zamku pod jego przewodnictwem.

Zabłysła nadzieja możliwości rozpoczęcia Państwowej pracy — u siebie, wśród swoich...

Za kilka dni praca rozpoczęła się.

Zanim rozpocznę cykl wspomnień osobistych z kilkuletniego okresu mojej pracy w kraju, muszę wyznać, że boję się by czytelnicy nie doznali pewnego zawodu i rozczarowania co do treści: bo nie tylko nie znajdą sensacyjnych rewelacji, ale i sylwetkowych charakterystyk obecnych działaczy społecznych. Czynię to świadomie, uważając za niewskazane dawać choćby tylko sylwetki osób, które są obecnie u steru, czy lada chwilę mogą znów wrócić na arenę publiczną, wychodzę bowiem z założenia, że mój obecny sąd mógłby wypaść zbyt stronnie, a pozatem pisać przecież będę o okresie i wypadkach, w których ja nie tylko sam brałem czynny udział, ale i byłem na Państwowej wojskowej służbie, a każdy wojskowy z zasady powinien być „wielkim milczkiem”. Może z czasem, pisząc dalszą kronikę, wrócę do charakterystyk, bo „czas” to nie tylko „dobry lekarz” ale koryguje i ustala należyte perspektywy, zamglone przez pewien szereg lat — biegiem wypadków i reagowania na nich jednostek...

Mówiąc o tem, że trudno pozbyć się subiektywności przypominam wyczytaną kiedyś w jakiejś powieści rozmowę wychowawcy z uczniem, którego uczeń pyta. „Dlaczego mój pies ma takie smutne oczy?” „Mój chłopcze, odpowiedział wychowawca, bo patrzysz na niego smutnymi oczami. Ludzie widzą najczęściej to co chcą widzieć”. Rzeczywiście często poglądy nasze zależą od nastroju i usposobienia w danej chwili. Pozatem my polacy, w naszych sądach łatwo wpadamy w krańcowość — zachwyt i odraza następują po sobie zbyt nagle.

Przypominam opowiadanie czcigodnego doktora Marcinkiewicza, domowego lekarza ks. Imeretyńskiego, z czasów petersburskich. Jadąc przez Warszawę zagranicę odwiedził go. Imeretyński zatrzymał doktora na śniadaniu, w przyjacielskiej rozmowie doktor powiedział mu, że wie iż on Imeretyński, jako Generał Gubernator, cieszy się ogólną sympatją w kraju. Na to otrzymał taką odpowiedź: „Kochany doktorze, i ja łudziłem się, że tak jest — że cieszę się pewną sympatją u ludności, bo od pierwszej chwili przyjazdu do kraju starałem się — i czynię to i nadal — ulżyć i łagodzić to co łagodzić mogę, ale teraz widzę i czuję, że ta sympatja zupełnie znikła. Wy Polacy, jak kobieta, która niewiedomo za co polubi i niewiedomo dlaczego nawet znienawidzi...”

Iluz ludzi przez ten krótki okres czasu opinja publiczna, na jakiś czas „wznosiła pod niebiosą”, a potem — „zmieszała z błotem...”

W moich wspomnieniach będę się starał o obiektywność, zaznajamiając społeczeństwo, z nieznanymi dla niektórych z nich, charakterystycznymi szczegółami naszych poczynań.



Je ne propose rien—j'expose (nic nie narzucam, a tylko wyświetlam).

Dalsze wspomnienia dzielę na roczne okresy, wyłączając tylko w osobisty rozdział moją pracę w szkolnictwie wojskowem, która trwała przez 32 miesiące bez przerwy.

---

## II.

### Praca w szkolnictwie wojskowem.

23 Listopada odbyło się na Zamku w gabinecie kierownika ministerstwa wojny pierwsze posiedzenie komisji w sprawie organizacji szkolnictwa wojskowego w Polsce. Kierownik ministerstwa p. pułkownik Wroczyński, w powitalnej mowie podkreślił konieczność opracowania programów i planów organizacji przyszłego szkolnictwa i oświadczył, że wykonanie tej pracy poleci osobnej komisji.

Poprosiłem o głos i oświadczyłem, że według mego zdania, w obecnych warunkach niema czasu na akademickie debaty w komisjach, że zająć się tem winna jedna osoba, o ile się uzna, że zaproponowany przez tą osobę plan jest logiczny; programy, podręczniki, instrukcje w najkrótszym czasie będą wypracowane, bo życie robi swoje.

Członkowie komisji, w zasadzie, zgodzili się ze mną, i p. minister zapytał mnie, czy zgodziłbym się zorganizować szkolnictwo wojskowe, o ile by mi powierzono urządowo.

Odpowiedziałem, że uważałbym to za wielkie szczęście, ale że mogę podjąć się tej misji tylko wtedy, gdy moje zasadnicze tezy zostaną zaaprobowane.



Pułkownik Wroczyński prosił bym je przedstawił.

Zacząłem od tego, że w państwach centralnych szkolnictwo wojskowe stało na bardzo wysokim poziomie, były doskonałe szkoły, doborowy skład profesorów, świetne podręczniki, systematyczność w metodach szkolenia, a mimo to — wszystko pierzchnęło, znikło w najkrótszym czasie.

Moim zdaniem krach systemu militarystycznego nastąpił dlatego, że *wojsko nie było narodowe*, że wojskowi stanowili odrębną kastę, oddzieloną chińskim murem od społeczeństwa, a w samym wojsku była przepaść między żołnierzem i oficerem — i zemicło się to: naprzód w byłej Rosji, potem zaś w państwach centralnych.

My pozatem musimy liczyć się z tem, że u nas w pierwszym okresie wojsko będzie się formowało z ludzi z byłych zaborów, jeżeli i nie z różną ideologią, to w każdym razie wyrosłych w odmiennych warunkach i trzeba ich będzie duchowo zespolić — zcementować.

Zadaniem szkolnictwa wojskowego w Polsce musi być nie tylko fachowe wykształcenie, ale jednocześnie i ideowe, żeby żołnierz polski wrócił z wojska uświadomionym obywatelem. Do wykonania tych zadań musi być jaknajprędzej przygotowany zespół oficerów i podoficerów.

Wszyscy zebrani zgodzili się ze mną.

W parę dni później otrzymałem urzędowy list od kierownika ministerstwa, w którym polecono mi przystąpić do organizacji Departamentu Szkolnictwa Wojskowego.

Do pracy tej przystąpiłem niezwłocznie z ogromnym zapałem.

Do najbliższej współpracy zaprosiłem generałów Latura i Romiszewskiego i profesora p. Lucjana Zarzyckiego.

Generał Latur przeszedł w Rosji w szkolnictwie wszystkie stopnie od korępetytora wychowawcy, do dowódcy kompanji i dyrektora korpusu kadetów; pracy w szkolnictwie poświęcił kilkadziesiąt lat; nie zważając że, był o sporo lat starszym odemnie przystąpił do organizacji korpusów kadetów z młodzieńczym zapalem.

Generał Romiszewski, również starszy odemnie wiekiem, zajmował w Rosji wyższe stanowisko w artylerji, odbył wojnę wszechświatową, w młodszych rangach ukończył akademię wojskową prawną; w naszym szkolnictwie objął oddział wyszkolenia oficerów i podoficerów i opracowanie projektu politechniki wojskowej.

Znany w kraju nie tylko jako utalentowany profesor, ale jako wybitny pedagog i administrator profesor Zarzycki objął oddziały: pedagogiczny i kulturalno-oświatowy i w najkrótszym czasie zorganizował dla przyszłych wychowawców i wykładowców kursa pedagogiczne przy Warszawskim Uniwersytecie i kursa dla referentów oświatowych.

Narazie nie mieliśmy ani lokalu, ani inwentarza, brakowało sił pomocniczych, dopiero 12 grudnia — na Królewskiej 2—odbyło się uroczyste poświęcenie gmachu przez znanego pedagoga ks. Gralewskiego i otwarcie Departamentu Szkolnictwa Wojskowego. Przypominam sobie z jakim wzruszeniem układałem mój pierwszy rozkaz do moich współpracowników, których szeregi powiększały się z dniem każdym. Muszę tu stwierdzić, że kierownik ministerstwa pułkownik Wroczyński udzielał mi stale po-



parcia i moralnego kredytu, tak samo miałem potem to i ze strony generała Sosnkowskiego.

W pierwszym planie stało zorganizowanie kursów pedagogicznych, które zostały utworzone już wstyczniu 1919 r. i na których wykładały tak wybitne siły jak prof. Smoleński (Historja Polski), pr. Thur (Biologia), pr. Szober (Język Polski), pr. Radziszewski (Ekonomia (Polityczna ks. Nowakowski (Etyka), pr. Noakowski (Historja Sztuki), pr. Tatarkiewicz (Logika), pr. Gambrynowicz (Literatura Polska), pr. Zarzycki (Pedagogika).

Nie przytaczam szeregu innych nazwisk profesorów, którzy <sup>wszyscy</sup> z wielkiem zrozumieniem znaczenia tej pracy, przeważnie bezinteresownie, poświęcali swój czas i pracę. Wykładano poza wspomnianymi przedmiotami — Historję Wojny, Geografję Polski, Statystykę, Encyklopedję Matematyki.

Wykłady odbywały się codzień od 7 do 9 rano i od 5 do 8 wieczór. Poza wykładami odbywały się colloquia. Kursa trwały na razie 4 miesiące, a w następne lata i do 6. Staralem się w miarę możliwości bywać na wykładach pierwszego kursu jak najwięcej.

Z serdeczną wdzięcznością wspominam o całym szeregu tych ideowych ludzi i nie tylko wśród całego zespołu profesorów, ale i słuchaczy.

Poza opracowaniem programów i instrukcyj dla przyszłych naszych uczelni wojskowych, pracowaliśmy nad organizacją kursów kulturalno-oświatowych dla przyszłych referentów w pułkach i nad stworzeniem kursów wychowania fizycznego.

Została pozatem opracowana organizacja kursów maturalnych; na razie w gmachach szkół powszechnych, odbywały się wieczorne wykłady dla

wojskowej młodzieży, która z powodu wojny nie zdążyła otrzymać matury; dzięki tym kursom parę tysięcy wojskowej młodzieży uzyskałem matury.

Zorganizowaliśmy również wykłady, mające ułatwić byłym studentom wyższych uczelni, którzy wstąpili do wojska — dokończenie fachowego wykształcenia; oficerów takich było kilkuset. Ministerstwo Wojny udzielało im płatne, nawet i paroletnie urlopy, ale z tem, że oni potem byli zobowiązani, albo zwracać kosztą, albo odsługiwać po 3 lata za rok płatnego urlopu.

Po upływie kilku miesięcy został ułożony polsko-rosyjski słownik technicznych wyrazów i zwrotów; zawierał z górą 6 tysięcy słów, to była ponieważ pierwsza urzędowa terminologia, wyrazy ustalało się w lotnych komisjach, złożonych z fachowców poszczególnych broni; ostateczne sankcje dawali życzliwie — lingwiści profesorowie Szober i Kryński, którzy nigdy nie odmawiali nam pomocy.

Zasadą naszej pracy była wybitna apolityczność, w zespole naszym pracowali ludzie odrębnych zapatrywań i przekonań, łączyła nas jedna wspólna platforma—oświata żołnierza polskiego.

Na konferencje w Departamencie Szkolnictwa w sprawach zaznajomienia społeczeństwa z rozwojem naszych prac przychodzili przedstawiciele najsłabszych orientacji — przy jednym stole siedzieli redaktorzy „Robotnika”, „Kurjera Porannego” i „Gazety Warszawskiej”. Naczelną troską wszystkich było zwalczanie w wojsku analfabetyzmu.

Spółeczeństwo chętnie nam pomagało, urządząc świetlice żołnierskie, zakładając biblioteki i t. p.

Pozatem urządzaliśmy w pułkach amatorskie przedstawienia, koncerty orkiestr — nawet i kwar-



tety smyczkowe, popisy chóralne. Na frontowe pozycje wysyłaliśmy zespoły artystyczne z repertuarem przeważnie patriotycznym.

Nieznani szerszemu społeczeństwu pracownicy referenci i referentki oświatowe włożyły dużo ideowej pracy...

O ile praca wewnątrz departamentu była nie tylko łatwa, ale wprost porywająca, o tyle na zewnątrz kolce życia kłuły chwilami boleśnie.

Zaczęło się od tego, że przez dłuższy okres czasu nie było rozkazu, nie tylko o mianowaniu mnie Szefem Departamentu, ale nawet i o przyjęcie mnie i moich najbliższych pomocników generałów do wojska polskiego.

Wychodząc z założenia, że byłem i jestem na służbie czynnej, nie chciałem zajmować wyższych władz osobistymi sprawami. Urzędowo też w tej sprawie nikogo nie pytałem, ale z prywatnych opowiadań przyjaciół dowiedziałem się, że coś tam — gdzieś rozpatrują. Radzono mi nawet nie spieszyć z obstalowaniem munduru, bo kto wie czy wyjdzie wogóle rozkaz o mojem przyjęciu na służbę czynną. Mówiono, że stawiają mi najróżniejsze zarzuty, a przede wszystkim, że nalegam na przyjęcie na służbę czynną zbyt wiekowych generałów, szeptano, że nasi koledzy — i przeważnie z zaboru austriackiego — kwestjonują nawet: moją polskość!!!

Może było w tych informacjach nieco przyjacielskiej przesady, ale fakt faktem, że rozkaz o mojem przyjęciu do Wojska Polskiego został ogłoszonym dopiero w końcu grudnia, a szefem Szkolnictwa Wojskowego zostałem mianowanym dopiero w styczniu 1919 r.; na własne oczy widziałem schemat organizacji centralnych urzędów ministerstwa podpisany

przez Szefa Sztabu generała Szeptyckiego, w którym jako Szef Departamentu Szkolnictwa wpisanym był ktoś inny, a nie ja.

Dziś o tem co przeszło piszę spokojnie — ale nie bez pewnego smutku; gdym to przeżywał nerwy często drżały od napięcia...

Pracowałem w szkolnictwie 32 miesiące bez przerwy; w całokształcie tej pracy było dużo porywającego i sympatycznego, otaczał mnie zespół ludzi przeważnie ideowych, pracujących nie dla kariery i zysków, a przez zamiłowanie i zrozumienie doniosłości zadania.

Ten okres mojego życia zaliczam do najprzyjemniejszych z całego długiego szeregu lat pracy na najróżniejszych stanowiskach, przedtem w Rosji i obecnie w kraju.

O tym okresie możnaby napisać nie jedną setkę stronic, ale przytoczę tylko kilka charakterystycznych wspomnień.

Dla zorientowania się w schemacie szkolnictwa wojennego muszę zaznaczyć, że do początku 1920 r. poza Departamentem Szkolnictwa przy Sztabie Generalnym był osobny wydział szkolny, podlegający bezpośrednio Szefowi Sztabu, oddział ten zarządzał Szkołą Podchorążych, od niego również był uzależniony Instytut Naukowo Wydawniczy.

W 1920 r. nastąpiła reorganizacja — wyżej wskazane instytucje przeszły do kompetencji Departamentu. Pod zarządem Sztabu Generalnego pozostały tylko Szkoła Sztabu Generalnego i Instytut Geograficzny.

W pierwszych dniach stycznia 1919 r. pojechałem do Krakowa na inspekcję naszego pierwszego korpusu w Łobzowie i spędziłem tam kilka dni.



Chodziło o jaknajrychlejsze rozpoczęcie systematycznych normalnych zajęć i spolinizowanie korpusu, bo komplet kadetów stanowili przeważnie kadeci polacy, zebrani ze wszystkich korpusów byłej Austrii. Znaczny procent chłopców słabo władał językiem polskim, ich trzeba było podzielić na grupy, zależnie od znajomości języka.

Gmach był budowany jeszcze za Kazimierza Wielkiego, dla ukochanej Esterki. Było nam w nim ciasno, ale za to przez cały rok korzystać można było ze wspaniałego parku. Codziennie rano kadeci niezależnie od pogody musieli obieć cały park; w parku odbywały się ćwiczenia fizyczne i gimnastyka. Latem korzystano z bardzo dużego basenu do pływania, który również urządzony był w parku. Warunki higieniczne doskonałe. Latem na dorocznych promocjach, podczas popisu, rodzice uczniów nie szczędzili słów zachwytu dla szkoły. Najbardziej entuzjastował się p. Tetmajer, który oświadczył mi, że korpus zmienił zupełnie jego syna, który urosł, stał się sportsmenem, zmężniał.

Poza nauką w zakresie programu państwowych szkół średnich, kadeci uczyli się musztry, ponadto postanowiliśmy wprowadzić naukę rzemiosł—zależnie od własnego wyboru kadeta. Nowy zespół pedagogiczny, również częściowo zniemczony, z zapalem zabrał się do pracy.

W Departamencie postanowiliśmy jak najprędzej utworzyć cztery szkoły kadetów — w Krakowie, Warszawie, Wilnie i Poznaniu; udało się sformować tylko dwa — w Krakowie (który następnie został przeniesionym do Łwowa) i w Modlinie (obecnie w Radzynie). W Wilnie i Poznaniu nie mogłem dostać odpowiednich gmachów. W Modlinie również

nie zbyt nadawały się gmachy—ale wyboru nie było i zwlekać nie uważaliśmy za wskazane.

Co do politechniki wojskowej, to postanowiliśmy zorganizować przy politechnice Lwowskiej dodatkowy wydział wojskowo-inżynieryjny. Szczegóły tego projektu opracowywał generał Romiszewski. W tym celu ja byłem dwukrotnie we Lwowie dla porozumienia z Senatem politechniki.

Centralna szkoła dla podoficerów miała być założona w Brześciu, żadne jednak koszary, jako zbyt zniszczone w okresie wojny nie nadawały się do tego celu.

Gdym był w tej sprawie w Brześciu, pokazano mi w kasynie oficerskiej tablicę, ze znanym aforyzmem Trockiego „ani pokoju, ani wojny”, wypowiedzianym w czasie pertraktacji pokojowych rządu komunistycznego z rządem niemieckim, które odbywały się w Brześciu w początku 1918 r.

W większych garnizonach urządziliśmy obowiązkowe kursa polonistyczne dla tych oficerów, którzy bardzo słabo władali językiem polskim, albo nie posiadali matury polskiej przy wstąpieniu do wojska Polskiego.

Kilkakrotnie zaznajomialiśmy społeczeństwo z organizacją i rozwojem naszej pracy kulturalno-oświatowej, zapraszając w tym celu bądź do Departamentu, bądź do szkół i instytucji przedstawicieli najróżniejszych odłamów prasy i informując ich o wszystkich poczynaniach.

W 1920 r. zakończyliśmy opracowanie projektu całokształtu szkolnictwa wojskowego, w tej pracy na naszych posiedzeniach brał stały udział i generał francuski Spire, który był przez kilka lat w Polsce na czele francuskich wykładowców i instruktorów.



Latem 1920 r. byłem w Paryżu dla zaznajomienia z nim w szczegółach kierowników szkolnictwa wojakowego we Francji. Projekt ten nie tylko był zaoprobowany przez nich w zasadzie (kurtuazyjnie mówili mnie że projekt ten jest — „jajkiem Columba”) ale mieli nawet zasady projektu zastosowywać i u siebie.

W założeniu projektu było to że wszyscy przyszli oficerowie, obowiązkowo maturzyści, albo wybitniejsi podoficerowie po ukończeniu specjalnych ogólnie kształcących kursów, wstępują do jednej wspólnej szkoły podchorążych i tylko po roku wspólnych studjów — segregują się na dalsze dwa lata studjów wedle zdolności i potrzeby ministerstwa, do oficerskich szkół fachowych — artylerji, saperów lotnictwa, jazdy, piechoty.

Z początkiem roku szkolnego w 1919 r. chciałem wysłać możliwie największą ilość naszych oficerów, do szkół oficerskich we Francji, a mianowicie: do wyższej szkoły Sztabu Generalnego — Ecole de guerre, do szkół piechoty St. Cyr w Wersalu i St. Mexain w Bretanji, do szkoły artylerji w Fontenbleau, na kurs saperów — w Wersa'u, na kurs jazdy — w Saumur, na kursa intendentury, do szkoły inżynierów konstruktorów lotnictwa, do szkoły służby administracyjnej — wszystkie w Paryżu i do szkoły sportu — w Joenville. Władze francuskie szły nam bardzo na rękę, znacznie jednak trudniej było z kredytami.

Marzyłem o wysłaniu 100 oficerów, ale Ministerstwo skarbu nie zgadzało się na ryczałtowe djety ponad 25 franków na osobę.

Znając dobrze warunki życia zagranicą znalazłem się przed dwiema alternatywami: albo narazić oficerów na ciężkie warunki materjalne, albo zdecy-

dować się na znaczne zmniejszenie ilości wysyłanych zagranicę oficerów.

Kiedy z polecenia p. vice-ministra generała Sosnkowskiego osobiście przedstawiłem Naczelnikowi Państwa dwie warunkowo ułożone listy — całą i skróconą oświadczyłem mu, że zdaniem mojem minimalne djety dla kawalerów powinny być 40 franków, dla żonatych zaś franków 50.

Naczelnik Państwa, najzupełniej niespodzianie zaproponował, bym użył na ten cel dodatkowo około 100 tysięcy franków, które on tylko co otrzymał od polaków z Ameryki i które mi rozporządzać może według własnego uznania. Trudno opisać moją radość — byłem ogromnie wzruszonym, miałem wrażenie, że otrzymałem wielkie osobiste odznaczenie...

Żegnając się z oficerami zwracałem ich uwagę że właśnie Francuskie szkoły powinny być dla nas wzorem jak trzeba pracować dla Ojczyzny — a nie dla kariery. Armja Francuska przez 43 lata stale i systematycznie pracowała nad swoim rozwojem, nam należy przejąć od nich metody pracy.

Większość nas z zapalem i poświęceniem umiera za Ojczyznę, a trzeba nauczyć się żyć i pracować dla niej...

W tym czasie przy Departamencie zaczął wychodzić tygodnik wojskowy „Żołnierz Polski”. Na naczelnego redaktora zaprosiłem popularnego w kraju wysoce utalentowanego poetę „Or-Ota” (p. Oppmana), pismo to egzystuje do dziś dnia i przyniosło wiele korzyści.

Po za pismem we wszystkich większych ośrodkach wydawano dla żołnierzy popularne broszury, wyświetlano filmy oparte na motywach historycznych.

Krucho było z naszemi wydawnictwami, ale mu-



sialiśmy walczyć z propagandą komunistyczną, i mając na względzie że nasz wschodni sąsiad na cele propagandy wydawał ogromne sumy. W Sowdepji każdy żołnierz otrzymywał podobno co miesiąc 30 broszur, wprost zasypywano go drukami, nie wiem czy wszystko było czytane, ale muszę się przyznać że i nasze druki nie zawsze prędko i gładko trafiały do czołowych pozycji, a czasami dość długo czekały na kolejkę w sztabach, mówiono mnie, że bywały i takie wypadki że druków, czasowo używano—jako materacy.

Dowodem jak wielkie znaczenie przypisywali propagandzie wojskowej bolszewicy niechaj będzie fakt że codzienne mityngi były u nich wtedy włączone do obowiązkowych zajęć żołnierskich jak i musztry, i opowiadano mi, że w sypialniach żołnierskich co wieczór przez specjalne płyty gramofonowe pouczano czerwonych żołnierzy o cudach raju komunistycznego i obowiązkach prawdziwego komunisty.

Oddział kulturalno oświatowy przystąpił do opracowania projektów pokazowych kursów rolniczych dla żołnierzy.

W dziedzinie działalności kulturalno oświatowej, w zakres kompetencji Departamentu Szkolnictwa weszły również niektóre sprawy „Imki” (Y. M. C. A.) i Białego Krzyża.

Czas biegnie szybko.

Następuje i nowa faza: z powodu ustalonego wieku prekluzyjnego najpierw odeszli generałowie Latur i Romiszewski, wkrótce po nich odszedł i profesor L. Zarzycki, celem organizowania szkolnictwa na naszych wschodnich kresach.

Każdy z nich pozostawił po sobie spory spadek w postaci poważnej pracy, cennej niezwykle, bo opartej na fachowej wiedzy i doświadczeniu życiowym.

Odeszli na inne stanowiska ideowi moi pomocnicy w sprawach biurowych — pp. Mikulicz, Radecki i Kollataj.

Przyszli inni ludzie — pułkownik M. Kukiel — jako mój zastępca, (przez jakiś czas zastępował go pułk. Fabrycy), pułk. Zarzycki — jako szef wydziału, podpułkownik Młodzianowski — jako komendant szkoły podchorążych, prof. Tokarz — jako Szef Instytutu Naukowo-Wydawniczego i major Jędrzejewicz — jako kierownik wydziału kulturalno-oświatowego, major Kustroń — jako jego zastępca, wybitny pracownik por. Kornilowicz i inni.

Dopiero z końcem 1920 r. kiedy, po wojnie, ogólnie ekonomiczny stan kraju zaczął wymagać jak największych oszczędności, Departament zwłaszcza w dziedzinie kulturalno-oświatowej, poszedł pod nóż redukcji.

Latem 1921 r. przyszła kolej i na mnie.

W końcu Lipca zupełnie niespodziewanie dla mnie dowiedziałem się że 1 Sierpnia wyjeżdżam z Warszawy celem objęcia stanowiska Szefa Misji wojskowej we Francji. W kilka dni po otrzymaniu zawiadomienia o nominacji, musiałem wyjechać; poprosiłem jeszcze o 24 godzinną zwłokę, gdyż na Zjeździe Naczpola (Naczelny Wojskowy Polski Komitet), miałem 2 Sierpnia wygłosić odczyt, jako były prezes komisji wojskowej Naczpola. Prosiłem prezydium zjazdu — w skład którego również wchodziłem — o zmianę kolei mojego referatu, żeby zdążyć na pociąg, po referacie nie było nawet czasu zmienić ubrania na cywilne — przeodziałem się dopiero w drodze.

Po 32 miesiącach odchodzę od tego tak wyjątkowo pożądanego warsztatu pracy, zachowując do ostatnich dni życia najmiłą pamięć o tym okresie.

Dużo było w nim przeżyć, były i smutne i cięż-



kie, tak pod względem moralnym jak i materialnym, ale też moc niezapomnianych miłych wzruszeń.

Ileż się w tej pracy spotkało jednostek świetlanych, pracujących nie dla zaszczytów i zysku, a idealowo, dla Ojczyzny.

Jak już mówiłem nie jeden z nas miał włosy przyprószone siwizną i mocno poorane czoło, ale wszyscy czuliśmy się młodo i byliśmy wielkimi optymistami.

Muszę jeszcze raz stwierdzić, że praca w zakresie szkolnictwa wojskowego spotykała się z poparciem i uznaniem społeczeństwa. Świadczy o tym choćby moc pochlebnych wzmianek i artykułów dziennikarskich o szkolnictwie wojskowym.

Przytoczę tylko dwie, z nich jedną prozą, a drugą wierszem:

„Przyjdzie czas kiedy historia wypisze na marmurze nazwiska tych wszystkich, których dziełem jest szkoła — Ojczyźnie pożyteczna, Narodowi droga”.

i: „Przewodników lepszych pokaż

Gdzie ma jaka szkoła, gmina

Młodzianowski, Kukiel, Tokarz

I szkolnictwa Szef — Jacyna.

Tam niema systemu: lataj,

Lub chowania dziur pod poły

Stąd by się minister Rataj

Uczył, jak prowadzić szkoły.”

Z głębokim przekonaniem że u większości moich byłych współpracowników znajdę zrozumienie napisałem w moim pożegnalnym rozkazie:

„Praca nasza musi być planową i systematyczną, gdyż zbudować musimy gmach potężny, który zdolny będzie zapewnić szczęście i spokój milionom obywateli i na tyle mocny, żeby oprzeć się zakusom wrogów.

Obecnie w warunkach pokojowych rozpocznie się najbardziej rzeczowa, żmudna i bez efektów błyskotliwych, jednak zaszczytna niezwykle i potrzebna Ojczyźnie praca.

Świat należy do silnych wiedzą i wolą".

Pożegnanie z moimi współpracownikami było bardzo serdeczne; nie przytaczam treści przemówień pożegnalnych.

Najbardziej wzruszyło mnie jedno z nich, od grupy najmłodszych współpracowników, które nie zostało wypowiedziane na uczcie pożegnalnej, a wręczone mi na banhofie, przed odejściem pociągu. Wprost ze wzruszeniem odczytałem serdeczne wyrazy, wypowiedziane z młodym entuzjazmem i zapałem...

Cytuję tylko wiersz ułożony na moją cześć przez „Or-Ota” przeczytany przez niego podczas pożegnalnej biesiady.

Miecz legł zwycięski owity wawrzynem  
Na dziejów polskich krwią pisanej karcie.  
Służyć Ojczyźnie sercem, duchem, czynem  
Możemy dzisiaj jawnie i otwarcie.

A pamiętamy, kiedy każde słowo,  
Co biło w słońce wolności okrzykiem,  
Wtłaczano w pęta i nad młodą głową  
Ryczał głos wroga: „Jesteś niewolnikiem”.

Myśmy przetrwali — i Bóg naszym świadkiem  
Ześmy pełnili polską wartość wiernie,  
Tak, jak brat z bratem dzieli się opiatkiem,  
Polak z polakiem dzielił łyż i ciernie.

Porozrzucani na obszarach świata  
Hartując duszę do wielkiego dzieła,



Czuliśmy w sercach, jak nam w nich kołata  
 Coraz potężniej: „Jeszcze nie zginęła”.  
 Jak każe tęsknić i marzyć i czekać,  
 Na dzień, co ziszczi dziadów sen rozprysły  
 I jak się pragnie uciekać, uciekać,  
 Do brzegów Niemna, do skrwawionej Wisły.  
 Nad falą Newy, co tak obco gada  
 Pod drapieżnymi chorągwiami Carów  
 Ty wiesz, jak pieśń ta słowem w serce wpada  
 Łoskotem bębnow i szumem sztandarów,  
 W mundurze wrogim w tyrana stolicy,  
 Serceś zachował polskie, wierne, młode,  
 A kiedy Bóg się zjawił w błyskawicy  
 I rzekł: „Jesteście” — życia masz nagrodę  
 I żeś miał oczy, na świat odemknięte,  
 Iż duch twój mężnie z wrogiem się ucierał,  
 Dwa masz tytuły, od krwi ojców święte:  
 Żołnierz Ojczyzny — i polski generał!  
 Gdys razem z nami polskie słowo ciskał,  
 To żywe słowo, co z żołnierzem gwarzy,  
 Widziałem zapal, co ci z oczu błyskał,  
 Widziałem radość, co jaśniała z twarzy.  
 Tyś marzył o tem, kiedy dzwon uderza  
 I sny rojone w rzeczywistość wciela,  
 Aby Ojczyźnie z każdego żołnierza,  
 Stworzyć Polaka i Obywatela.  
 Dziś swój najdroższy żegnasz posterunek  
 I płyniesz dalej z Ojczyzny falami.  
 Ale nam dałeś hasło i rymsztunek  
 I wiem, że sercem zawsze będziesz z nami  
 A gdy obaczysz jak orzące pługi  
 Plon z dusz żołnierskich wyorzą wspaniale  
 Znajdziesz w tym plonie częśćkę swej zasługi—  
 I to — twym laurem będzie Generale!

Na dworcu zebrała się liczna gromadka bliskich współpracowników i przyjaciół.

Z wielkim żalem żegnałem to wszystko z czym tak się żyłem przez  $2\frac{1}{2}$  lata, co nie tylko absorbowało, ale i porywało...

Tyle było najróżniejszych przeżyć, trosk, radości.  
Pociąg rusza, powoli nikną w odali bliskie i miłe osoby.

Skończył się jeszcze jeden okres mojego życia.  
Rozpoczyna się nowa praca...

Nie marnuj życia, na skargi, zwątpienia.  
Na bezowocne zadumy,  
Świat pójdzie drogą swego przeznaczenia,  
I pójdą za światem tłumy.

---



### III

#### Rok 1919.

Nadchodzi wigilja Nowego Roku.

Rok 1918 tak wyjątkowo ciężki dla wielu i dla nas osobiście — mija.

W pierwszej połowie roku 1918 nie tylko straciliśmy literalnie całe nasze mienie, ale i same życie wisiało na włosku; przez cały rok nie mieliśmy żadnych wiadomości od naszego syna, który w szeregach armji angielskiej walczył w Mezopotamji przeciw turkom i kurdom.

W wigilję nowego roku zakomunikowano mi urzędowo, że nominacja moja na Szefa Departamentu została podpisana i będzie ogłoszoną w „Dzienniku rozkazów”.

Dzień Nowego Roku był dniem pełnym różnorodnych wrażeń.

Z rozkazu kierownika ministerstwa, Szefowie Departamentów, Oddziałów i delegaci garnizonu zebrali się o godzinie 12 na Zamku. Pierwszy raz stawiliśmy się w tak licznym gronie.

Przyjechał Komendant J. Piłsudski.

Po krótkich powitalnych mowach nastąpiło śniadanie, które trwało parę godzin.

Wskazano mi miejsce obok Komendanta, była to moja pierwsza z nim rozmowa.

Rozmowa toczyła się na temat przeżyć wojskowych, wkrótce odezwał się u nas wspólny „sentyment” do „naszych stron” — Wileńszczyzny. Wskazując na siedzących przed nami bliższych współpracowników Komendant opowiadał, że oni chcąc go wyprowadzić z równowagi — napadają i krytykują naszą Litwę.

Utkwiły mi w pamięci słowa Komendanta na temat Wilna, zajętego przez bolszewików — „serce rwie się tam, a rozum mówi, że na razie nie sposób”.

Jak wiadomo bolszewików wypędzono dopiero w wielką Sobotę — w Kwietniu.

W czasie śniadania zaszedł charakterystyczny szczegół — na początku śniadania adjutant kierownika ministerstwa zameldował mi, że p. minister prosi, bym powitał w imieniu wojskowości p. I. Paderewskiego, który wieczorem przyjeżdża z Poznania. W połowie śniadania zjawił się Szef Sztabu General Szepetycki. Po rozmowie jego z Komendantem i kierownikiem ministerstwa adjutant ministra oświadczył mi, że rozkaz został zmieniony i że p. Paderewskiego powita oficer sztabowy a nie General.

Żona prosiła bym był na spotkaniu pp. Paderewskich, jako osoba prywatna, motywując tem, że znamy ich oddawna, że bywali u nas w Petersburgu, a syn nasz w 1917 r. jadąc z Rosji do Anglii przez Amerykę, był u nich w Nowym Jorku. Powiedziałem że potem co zaszło na zamku, nie uważam za wskazane jechać na dworzec a do holu hotelu Bristol mógłbym pójść tylko w cywilnem ubraniu. Ostatecznie żona poszła do Bristolu sama, a ja chodziłem wśród tłumów, które zalewały ulice.



Byłem świadkiem żywiołowych owacyj dla Paderewskiego.

Chcę tu jeszcze wspomnieć o otrzymanym „noworocznym prezencie”. Przysłano mi, anonimowy wycinek z noworocznego numeru „Gazety Warszawskiej”. Anonimowy autor wyjawiał w nim swe oburzenie, że na czele Departamentu Szkolnictwa stoi znany „rusofil” Generał Jacyna, który w Rosji był wrogiem polskich formacyj, a w Warszawie otacza się rosjanami i przyjął na służbę „krewnego żony chana Makińskiego” (?)

Zastanawiając się nad powodami wrogiego wystąpienia przeciw mnie Gazety Warszawskiej, pisma reprezentującego opinię poważnych sfer naszego społeczeństwa, które bez sprawdzania faktów obrzuciło mnie kolumnjami, doszedłem do wniosku, że atak ten spotkał mnie ze względu na podkreślaną zawsze przeze mnie moją apolityczność.

Ponadto przypisuję to zatargowi jaki zdarzył się w Petersburgu w końcu 1917 r. między mną a szefami Misji Wojennych: Francuskiej — Generałem Nisselem i angielskiej — Generałem Noksem.

W okresie formowania naszego pierwszego korpusu, dążyli oni do tego byśmy wysyłali małe transporty naszych żołnierzy na front zachodni, gdzie wcielaliby naszych żołnierzy do poszczególnych części armii Ententy.

Jako Prezes wojskowej komisji Naczpola stale i stanowczo sprzeciwiałem się temu, do chwili gdy otrzymaliśmy zawiadomienie, że na podstawie dekretu Prezydenta Poincare na terenie Francji formują się samodzielne polskie formacje. Od tej chwili każdemu z pp. oficerów i żołnierzy ułatwialiśmy, na życzenie wyjazd do Francji.

Do chwili utrzymania dekretu Poincarego nie uważałem się uprawnionym do szafowania krwią polską i nie chciałem rzucać naszych żołnierzy w obce, nieznane otoczenie...

2 Stycznia rano złożyłem służbowy meldunek kierownikowi ministerstwa, miałem bowiem wkrótce jechać na kilka dni do Krakowa w sprawach objęcia korpusu kadetów w Łobzowie. Podczas meldunku zatelefonowano do ministra, że wkrótce przyjedzie na zamek pułkownik angielskiej służby p. Woods, który przybył z Poznania razem z Paderewskim.

Pułkownik Wroczyński prosił bym go zastąpił na śniadaniu, które miało być urządzone dla p. Woodsa ad hoc w kasynie oficerskim.

W czasie śniadania oświadczyłem pułkownikowi Woods, że syn nasz walczy w szeregach armii angielskiej: że od dłuższego czasu nie mamy o nim żadnych wiadomości, pułkownik odpowiedział, że zajmie się tą sprawą. Gdy po powrocie z Krakowa zjawił się znów służbowo na zamku, zawiadomiono mnie że przedtem nadeszło radio z Konstantynopola iż syn mój przebywa w Teheranie jest zdrow i przesyła pozdrowienie.

Do Krakowa wyjechałem dopiero 8 Stycznia, w tym okresie tak byłem zaabsorbowany pracą, że o „zamachu stanu”, który odbył się w noc na 5 Stycznia, dowiedziałem się dopiero podczas obiadu w pensjonacie „Goplana”. Była to niedziela, od wczesnego ranka do obiadu pracowałem w swem biurze, korzystając z ciszy i spokoju, o umówionej godzinie spotkałem się z żoną w pensjonacie (od paru dni mieliśmy własne zarekwirowane mieszkanie, ale jadaliliśmy jeszcze na mieście).

Ku wielkiemu zdumieniu dowiedziałem się o za-



machu; z „najwiarogodniejszych źródeł” opowiadano że premier Moraczewski aresztowany, a minister spraw wewnętrznych Thugutt — ciężko ranny. Wracając z obiadu spotkałem ministra sprawiedliwości, który właśnie szedł do Moraczewskiego, mieszkającego w Goplanie, i dowiedziałem się że p. Moraczewski wcale nie był aresztowany, a p. Thugutt — cieszy się najłepszym zdrowiem...

O przebiegu zamachu krążyło dużo opowiadań „z najwiarogodniejszych źródeł” i od „naocznych świadków” — ostatecznie najczęściej sprawdzało się przysłówie, że „łże jak naoczny świadek”.

Ale wszystko to byłoby i komiczne, gdyby w gruncie nie było tak smutne...

W połowie stycznia gabinet Moraczewskiego podaje się do dymisji, na czele nowego gabinetu staje Paderewski.

Wahadło zegaru politycznego odchyła się na prawo.

Gabinet Paderewskiego potrwał do Listopada, a potem w przeciągu 8 lat zmieniają się gabinety 18 razy — z kolejną zamianą: „lewo — prawo”; są próby utworzenia „urzędniczych” czy „fachowych” gabinetów, ogólna cechą ich wszystkich jest anemiczność i krótki żywot.

W lutym 1919 r. rozpoczynają się pertraktacje pokojowe w Wersalu, na których ważą się losy i Polski, oraz innych nowopowstałych Państw.

Dziwny jest Nemezys losu: w tych samych murach, gdzie przed 48 laty reprezentanci zwyciężonej Francji Gambetta i Thiers przyjmowały warunki dyktowane im przez Bismarka i Moltkego, którzy nakładają na Francję pięciomiljardową kontrybucję, zabierają jej Alzację i piątą część Lotaryngji, obecnie

reprezentanci tak potężnych do niedawna Niemiec. przyjmują niesłychanie ciężkie i poniżające godność narodową warunki, które dyktują im przedstawiciele Ententy z Francją na czele...

Polska nie otrzymała w Wersalu wszystkiego o czem marzyła. Sprawa granic naszych na zachodzie nie została rozstrzygnięta — czekają nas plebiscyty na Mazurach i na Śląsku. Niezałatwiono również sprawy granic wschodnich. Lwów osaczony, na Białej Rusi i na Polesiu ciągłe walki z czerwoną armją.

Marzenie nasze o dostępie do „polskiego morza”, również rozstrzygnięto połowicznie i nie zbyt dla nas pomyślnie. Gdańsk nie został nam przyznany, dziwną się również wydaje decyzja w sprawie sławnego „kurytarza” Gdańskiego...

Wybory do Sejmu odbyły się w końcu Stycznia.

Sejm został otwartym w połowie Lutego.

Niezrozumiałe było dla mnie zachowanie większej części społeczeństwa, miałem wrażenie, że wielu z tych których obowiązkiem było staranie się o wejście do Sejmu zachowało się biernie i apatycznie.

Wspominam ze wzruszeniem — chwilę uroczystego otwarcia pierwszego Sejmu; byłem na sali i jakby to było wczoraj, widzę sędziwą postać ks. F. Radziwiłła, który jako najstarszy wiekiem, zasiada przy stole prezydjalnym i otwiera posiedzenie.

Słyszę przemówienie Komendanta Piłsudskiego, który wzruszony i przejęty uroczystością chwili składa swoją władzę w ręce Sejmu, który go natychmiast — jednogłośnie — obiera na Naczelnika Państwa.

Rozpoczyna się praca Sejmu, która przez cały 4-letni okres idzie nie zbyt pomyślnie.

Sytuacja wewnętrzna jest ciężka, nie mówiąc



już o coraz intensywniejszej agitacji komunistycznej, na którą nie żałuje wydatków komunistyczny rząd Rosji i za ich złoto, stale, systematycznie, bez przerwy, organizują się jak po miastach tak i po wsiach najróżniejsze strajki, które coraz bardziej dają się we znaki ludności ekonomicznie.

W Lutym zostałem zaszczyconym dodatkową nominacją na członka Wojskowej Komisji Ustawodawczej. Przewodniczył Naczelnik Państwa, członkami byli kierownik ministerstwa wojny, Szef Sztabu Generalnego, oraz czterej generałowie — w tej liczbie i ja. Komisja przekształciła się następnie w Radę Wojenną, przewodniczył de jure minister wojny, a faktycznie osobno mianowany generał. Do Rady tej należałem do chwili wyjazdu mego do Francji, na stanowisko Szefa Misji Wojskowej w 1921 r.

Pozatem od początku r. 1919 spełniałem stale — znów do mego wyjazdu do Francji — funkcje asystenta przy składaniu listów uwierzytelniających Naczelnikowi Państwa, przez wszystkich przybywających do Polski ministrów pełnomocnych zagranicznych.

Asystowałem przy dwudziestu dwóch takich uroczystościach.

Pierwszym przedstawicielem dyplomatycznym, który przyjechał w początku 1919 r. był p. Prallon, mianowany ministrem pełnomocnym rządu Francuskiego.

Na razie został ułożony improwizowany ceremoniał przyjęć, którego nie zmieniono, aż do chwili mego wyjazdu do Francji.

Przy przyjeździe każdego nowego posła i złożeniu przez niego wizyt w ministerstwie spraw zagranicznych, ustalano dzień przyjęcia przez Naczeln-

nika Państwa i uzgadniano teksty wzajemnych przemówień.

W oznaczony dzień wyjeżdżałem z Belwederu w powozie galowym, w asystencji jednego z adjutantów Naczelnika Państwa. Przy pierwszych recepcjach wyjeżdżałem z eskortą szwadronu przybocznego, później zaszła zmiana w tym kierunku, że szwadron czekał na mój przyjazd przed mieszkaniem nowego posła.

Po urzędowym zaprezentowaniu się i zaznajomieniu się z jego otoczeniem witałem go i zapraszałem do Belwederu.

Do Belwederu jechaliśmy w dwóch powozach — w jednym nowy poseł ze mną, a w drugim jego sekretarz z adjutantem Naczelnika Państwa.

Połowa szwadronu jechała przed powozami, połowa za nimi. Jechaliśmy zwykle pośród licznych tłumów, Warszawa bowiem lubi atrakcje — z początku było to tak nowe dla mieszkańców miasta.

Jadąc z p. Prallon wyniosłem wrażenie, że mój kompanjon czuł się nieco emocjowanym, tłumaczyłem to sobie tem, że to było jego pierwsze stanowisko ściśle dyplomatyczne — przed tem on zajmował stanowisko Konsula Generalnego.

Przed Belwederem witała przybywających kompanja piechoty ze sztandarem i orkiestrą, która grała na powitanie hymn narodowy odnośnego Państwa. (W tym okresie orkiestra wojskowa pod batutą popularnego w Warszawie p. Sielskiego, miała sporo pracy, trzeba bowiem było w bardzo krótkich odstępach czasu nauczyć się najróżniejszych hymnów).

Przy wejściu do Belwederu nowego posła wi-



tali Szef Kancelarii Cywilnej, adjutanci Naczelnika Państwa i Szef Protokołu.

Następnie poseł w mojej asystencji szedł do sali recepcyjnej, gdzie w otoczeniu członków gabinetu, Szefa Kancelarii Cywilnej, Adjutantów i Szefa Protokołu czekał nań Naczelnik Państwa. Minister Spraw Zagranicznych przedstawiał posła Naczelnikowi Państwa, poseł wręczał Naczelnikowi listy uwierzytelniające i odczytywał swoje przemówienie — przeważnie po francusku. (Posłowie angielski i amerykański mówili po angielsku, niemiecki — po niemiecku, a drugi z kolei poseł finlandzki p. Erström po polsku).

Na przemówienie wygłoszone w języku francuskim, Naczelnik Państwa odpowiadał po francusku, a w innych — po polsku.

Po przemówieniach następowało przedstawienie Naczelnikowi Państwa członków legacji.

Następowała rozmowa Naczelnika Państwa z nowoprzybyłym posłem (już siedząca).

Otoczenie czekało na jej ukończenie stojąc.

Przy wyjściu kompanja znów prezentuje broń, orkiestra gra nasz hymn — aparaty fotograficzne pracują całą parą.

Wracaliśmy w tym samym porządku, wstępowałem jeszcze na chwilę do nowego posła, potem do powozu odprowadzali mnie członkowie legacji.

O wizycie każdego posła do Belwederu dałoby się opowiedzieć coś charakterystycznego, zatrzymam się jednak tylko na przyjęciu Nuncjusza Rattiego — obecnego papieża Piusa XI.

Mieszkał on na ulicy Książęcej, w mieszkaniu ks. prałata Brzezińskiego. Od pierwszej chwili byłem pod urokiem jego powagi i wybitnej inteligencji.

Szablonowa rozmowa rozpoczynająca się jak zwykle od słów „z tą chwilą rozpoczyna się nowy okres w stosunkach obu naszych narodów” — przeszła odrazu na tory bliskie, serdeczne i Nuncjusz oświadczył mi, że już od dziecka, po przeczytaniu opisu znęcań się i prześladowań polaków za ich przywiązanie do kościoła katolickiego i za narodowe ideały — poczuł dla polaków szczerą sympatię, opowiadał mi również o swoich pracach z czasów, gdy był bibliotekarzem w Watykanie.

Nam asystował szwadron 3 pułku ułanów (Warszawskich), który ma odznaki żółto-białe, a więc podobne do kolorów papieskich. Monsignor Ratti zauważył to i oświadczył, że jest ujęty subtelnością władz polskich.

Po powrocie z Belwederu, przed wyjściem z powozu wstał i ze wzruszeniem pobłogosławił szwadron, mówiąc głośno po polsku: „W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”...

Wspomnieć tu muszę o pierwszym szefie francuskiej misji wojskowej Generale Henrys.

W jego osobie Polska ma szczerego przyjaciela, który i obecnie szczerze się interesuje naszymi sprawami.

Poznaliśmy go bliżej i utrzymujemy z nim do dziś dnia przyjacielskie stosunki.

Przed wojną wszechświatową on zajmował wysokie stanowisko w Marokko; w okresie wojny wszechświatowej dowodził armią aliantów w Macedonji.

Z powodu tarć, o ile wiem na tle osobistych, zostali odwołani z Polski najpierw p. Prallon — którego zastąpił p. Panafieu, a zaraz po ukończeniu wojny 1920 r. i Generał Henrys.

Prezydent Wojciechowski skasował eskortę szwa-



dron i słyszałem osobiście od jednego z posłów delegowanych do Polski, że to skasowanie eskorty dotknęło go niemiło, gdyż na dzień przyjazdu do Belwederu zamówił operatora filmowego, chcąc dla popularyzacji Polski przesłać zdjęcie do swojej dalekiej Ojczyzny.

Wracam do kroniki zdarzeń.

Życie moje idzie silnym tempem. Pracuję od wczesnego rana (nieraz od 7-ej) do późnego wieczora.

Masę czasu zabierają konferencje, posiedzenia, gdyż nikt nie przychodzi na oznaczony czas, wszyscy spóźniają się „obowiązkowo”.

Zebrania, które sam zwoływałem, rozpoczynać się musiały punktualnie bez względu na ilość zebranych osób i ponadto prosiłem mówców o streszczanie się. Słuchając nieraz zbyt długich przemówień, wspomniałem ów list filozofa do przyjaciela w którym tłumaczy list zbyt długi tem — że nie miał czasu napisania krótszego.

Usprawiedliwieniem może być tu to, że społeczeństwo nasze miało mało wprawy do publicznych wystąpień, odnosi się to i do mnie, pamiętam jak przy pierwszych wykładach trudno mi było być ścisłym i zwięzłym.

Po za zajęciami urzędowymi, obowiązkowymi zwiększa się z miesiąca na miesiąc szereg — że tak powiem — zajęć półurzędowych: jak konieczne bywanie na przyjęciach, balach dobroczynnych i różnych uroczystościach.

W Warszawie po ciężkich latach wojny i okupacji, życie towarzyskie było bardzo ożywione, koło naszych znajomych stale się zwiększało, chociażby już z tego powodu, że każdy z nowo przybywają-

cych posłów zagranicznych składał nam wizyty i zapraszał do siebie.

Święta Wielkanocne przyniosły radosną wieść — zajęcie Wilna, i przeszły bardzo miło, pamiętam uroczyste nabożeństwo w kościele garnizonowym, byłem soborze. W uroczystej procesji dookoła kościoła prócz wojska brały udział tłumy publiczności zalegającej plac Saski,

W nocy obudzono mnie wiadomością, że coś się dzieje na mieście — okazało się, że niepokój żony, wyczerpanej przejściami w Rosji, jest zupełnie nieuzasadniony, gdyż to „łobuzy” warszawskie święcą Wielkanoc rzucaniem petard.

Nadchodzą 1 i 3 Maj, na ulicach Warszawy defilują liczne pochody.

W święto 1 Maja, organizowane przez naszych socjalistów (P. P. S.) demonstruje lud pracujący, manifestując swą solidarność z kosmopolitecznymi hasłami socjalistycznymi — „Czerwonym sztandarem”, czerwonymi chorągwiami.

Patrząc na przesuający się tłum, nasuwała się myśl, że sporo tych pocziwców, znalazło się tu pod wpływem pewnego hypnozu czy przymusu i, że kto wie, czy w pochodach 3 Maja nie znajdą się znów częściowo ci sami i czy z tym że zapałem nie będą śpiewać hymnów patriotycznych.

Uroczystość ku czci 3 Maja odbyła się na stokach cytadeli pod krzyżem Trauguta. Dzień był bardzo piękny, niezliczone tłumy wyległy na plac Broni.

Była msza polowa, defilada wojsk, delegacje, szkół — wrażenie było wielkie.

W tym okresie po raz pierwszy, w towarzystwie oficerów, zwiędziłem byłe więzienie polityczne na Cy-



tadeli i mogiły ofiar; nastrój podczas zwiedzania pawał uroczysty i rzewny; nikogo z zebranych nie zadziwił odruch kilku z obecnych, którzy uklękli pod tem drzewem — pod którem obok zwyczajnych bandytów, przez długie szeregi lat rozstrzeliwano i najlepszych synów Ojczyzny...

Lato spędziłem częściowo w Warszawie, częściowo na rozjazdach służbowych po różnych dzielnicach.

Byłem w Poznaniu, Biedrusku, Wilnie, Brześciu, Krakowie i Lwowie.

W Warszawie przed powrotem z Rosji bywałem bardzo rzadko tylko przejazdami, jadąc lub wracając z zagranicy, gdzie z Petersburga najczęściej jechało się przez Wierbołowo.

Spędzając pierwszy raz lato w Warszawie tęskniłem za naturą, bo okolic ładnych Warszawie brakuje.

Kiedyś wracając z Pragi z przedstawienia żołnierskiego jechałem powozem przez most kolejowy i wprost zapatrzyłem się na ładną oryginalną panoramę — na tle letniej księżycowej nocy, oświetlone miasto wyglądało cudownie.

Ciepły letni wietrzyk donosił tajemniczy szmer i zdawało się, że to nie odgłosy ulicznego życia dużego miasta — a nasze rodzime radio rozsyła przez powietrzne fale opowiadania o przeżyciach i mękach Narodu...

W Poznaniu byłem pierwszy raz — jak również i we Lwowie.

Wszędzie spotykałem życzliwe poparcie i zrozumienie dla naszych intencji i planów.

W Poznaniu dowódcą okręgu był wtedy generał Józef Dowbór Muśnicki, szefem sztabu były kie-

rownik ministerstwa pułkownik Wroczyński. Na wiosnę ministrem wojny mianowany został generał Leśniewski, wice ministrami generałowie Sosnkowski i Majewski.

W sprawach szkolnych stykałem się bezpośrednio z generałem Sosnkowskim.

W Poznaniu trafiłem na uroczystość — otwarcia szkoły lotników i dekorację generała Dowbora orderem Włoskim.

Uroczystość dekoracji odbyła się na byłym zamku królewskim, przy udziale licznie zebranego towarzystwa Poznańskiego.

Zamek zrobił na mnie nieco komiczne wrażenie — całość pretensjonalna, nieestetyczna, robi wrażenie nieodłącznego w każdym niemieckim mieście „Rathauskellera“.

W Warszawie uczestniczyłem również w malowniczej uroczystości rzucania w noc świętojańską wianków na Wiśle.

Wraz z wiankami popłynęła myśl ku „naszemu“ Pomorzu, „naszemu“ Gdańsku — i też morzu „naszemu“...

14 Lipca w dniu narodowego święta francuskiego odbył się cały szereg uroczystości w stolicy: nabożeństwo w Katedrze, przyjęcie u posła Prallona, akademja w ratuszu, galowe przedstawienie, w przystrojonym w chorągwie polskie i francuskie, teatrze. Podczas pierwszego antraktu p. Prallon wygłosił przemówienie na temat przyjaźni obu narodów. Dzień zakończył się balem w lokalu u hr. Zamojskiego, na który przybył i Naczelnik Państwa.

Jesienią odbył się szereg uroczystości w Wilnie, z powodu otwarcia uniwersytetu Stefana Batorego.

Dni te miały dla mnie — syna tej ziemi — bo ród



nasz od szeregu wieków zamieszkiwał w Wileńszczyźnie, Mińszczyźnie i Witebszczyźnie—urok specjalny.

Nie będę się zatrzymywał na szczegółach, ale każda z nich, bądź solenne wieczorne nabożeństwo, przy udziale tysięcznych tłumów w Ostrej Bramie, bądź uroczystości w gmachu uniwersytetu — każda z nich miała dla mnie swoisty czar...

W Listopadzie ustępuje Paderewski, gabinet tworzy p. Skulski. Panuje coraz większe rozgoryczenie, na tle spraw ekonomicznych i politycznych.

W drugiej połowie Listopada komisja wojskowa, pod moim przewodnictwem wyjeżdża do Francji, w celu zaznajomienia z powojennym szkolnictwem we Francji, a ja oprócz tego mam osobiście sprawdzić jak idą studia naszych oficerów.

Wyjazd zdecydowany został tak nagle, że nie mieliśmy czasu (a co prawda krucho było i z pieniędzy) na sprawienie cywilnych ubrań.

Jechać trzeba było drogą okrężną—przez Czechy i Szwajcarię, podróż z Warszawy do Paryża trwała ze 3 doby.

Władze francuskie udzieliły w Paryżu całkowitego poparcia naszej pracy.

W Paryżu spotkałem się z synem, który przygotowywał się do objęcia placówki dyplomatycznej w Waszyngtonie.

Jesienią wyjechać miało do Ameryki nasze pierwsze poselstwo; poseł ks. K. Lubomirski i jego zastępca p. F. Puławski nalegali by mój syn pojechał również. Jak już mówiłem syn mój służył w armji. angielskiej w Mezopotamji, nic więc dziwnego, że jako Polak mówiący expedite po angielsku i mając ukończony wydział prawny przedstawiał siłą pierw-

szorzędną. Po pewnych wahaniach syn zgodził się wyjechać do Waszyngtonu.

Przekonałem się przy tej okazji naocznie jak trudno było dostać bilet na statek odchodzący do Ameryki; obeszlśmy sporo biur, wszędzie odpowiadano, że trzeba czekać na kolejkę — przez kilka tygodni i jedynie dzięki francuskiemu ministerstwu wojny, syn otrzymał kabinę na jednym z lepszych parostatków, który wkrótce odchodził.

Jeszcze w Warszawie uprzedzano mnie, że sprawa naszego wyjazdu z Paryża, w określonym terminie, nie jest tak prosta, bo w naszym poselstwie wydawano wizy wyjazdowe niby to na podstawie kolejności zgłoszeń. Pociągi z Paryża do Warszawy odchodziły dwa razy tygodniowo. Wiedząc o tem, że miejsca trzeba zamówić z góry, już w dzień przyjazdu—16 Listopada—prosiłem o zarezerwowanie 4 miejsc dla komisji na 8 Grudnia, oświadczono mnie, że miejsca napewno będą dla nas zarezerwowane.

Bywając w poselstwie spotykałem stale w poczekalni szeregi czekających na zawiadomienie o dniu wyjazdu, widziałem ludzi zdenerwowanych, płaczące kobiety, z tego powodu, że stale przed odejściem pociągu, w ostatniej chwili, dowiadują się, że trzeba czekać następnego pociągu. Coś podobnego miało spotkać i nas. Na parę dni przed terminem naszego wyjazdu powiedziano, że otrzymamy tylko trzy miejsca, a w oznaczony dzień wyjazdu było jeszcze gorzej, bo chociaż 7 Grudnia wymijająco powiedziano żeby mój adjutant przyszedł po bilety „jutro”, naza-jutrz zakomunikowano mu, że—„dziś biuro nieczynne, bo to kościelne święto” i że „komisja pojedzie następnym pociągiem”. Miałem z tego powodu przy-krą rozmowę z radcą poselstwa p. Jurystowskim



i byłem zmuszonym oświadczyć mu, że o ile komisja nie otrzyma miejsc, będę musiał zwrócić się natychmiast bezpośrednio do marszałka Focha. Ostatecznie wyjechaliśmy; następnym pociągiem pojechał tylko sekretarz komisji mój adjutant, który zdaje się wcale z takiego obrotu sprawy nie był niezadowolonym.

Przybywszy do Warszawy złożyłem z przebiegu tych spraw meldunek p. ministrowi, odpis zaś meldunku posłałem naszemu posłowi w Paryżu do wiadomości.

Dowiedziałem się później, że urzędnika poselstwa, który zarządzał temi wyjazdami—usunięto.

Muszę dodać, że na miejscach zarezerwowanych dla naszego poselstwa siedziały w pociągu też i osoby, nie tylko nie piastujące żadnego urzędu, ale niektórzy z nich, prawdopodobnie i nie mające nic wspólnego — z polskością...

Wracaliśmy z obfitym materiałem; już w czasie 3 dniowej powrotnej drogi, opracowaliśmy znaczną część jego, tak, że w parę dni po powrocie mogłem złożyć szczegółowy referat wice ministrowi generałowi Sosnkowskiemu.

Wracam do wrażeń z tej podróży.

Nie mówiąc już o widocznych śladach wojny, które widziało się na terenie Francji, choćby tylko przez okna wagonu, Paryż, na pierwszy rzut oka, mało się zmienił w czasie tych sześciu lat, w których go nie widziałem.

Miałem wrażenie, że spotykam starego przyjaciela, który po bardzo ciężkiej chorobie, znów wraca do zdrowia, tylko nad ludnością wisiała zasłona smutku, nieznana temu Paryżowi, który znałem przez długi szereg lat przedwojennych.

Nawet śródmieście pełne cudzoziemców, zalane

wieczorami potokami światła — wyglądało ponuro i smutno.

Poza wielką ilością kobiet w ciężkiej żałobie i kalek, sam układ życia wydawał się innym nieznanym mnie.

Wprawdzie Paryż, wierny swej tradycji — „bawił się” i na licznych dancinгах i na prastarym Monmatrze—ale sam przejazd po słabo oświeconych ulicach—bo nie zdążono jeszcze wszędzie usunąć ciemno fioletowych zasłon przed ewentualnymi atakami samolotów—nie był zbyt przyjemny i ponadto wszystkie lokale zamykano już o północy, podczas kiedy za czasów przedwojennych, właśnie o tej porze rozpoczynał swoje życie „nocny Paryż”.

Ale „używano” i w tych warunkach, szczególnie bawili się cudzoziemcy — aljanci, rzucając się po trudach wojny w wir zabaw i uciech.

Opowiadano sobie w Paryżu, że wojska amerykańskie, wracając do kraju, zabrały z sobą w postaci łupów—kilkadziesiąt tysięcy Paryżanek z Monmartu i dancinгов.

Cała Francja jednakże, nie wyłączając Paryża, pogrążona była w głębokiej żałobie i smutku, a co charakterystyczne—szczególnie dla Paryża—w święta kościoły były przepełnione i nie tylko kobietami, jak to miało miejsce przed wojną, ale i mężczyznami.

Nie będę zatrzymywał się na szczegółowych opisach inspekcji szkół i instytucji i opowiadaniach o życiu naszych oficerów, wspomnę tylko, że większość naszych oficerów pracowała świetnie i zdobyła sobie szacunek dowództwa i kolegów; mieli oni kłopoty finansowe, gdyż życie znacznie zdrożało, a większość z nich była zagranicą po raz pierwszy. Niejeden musiał więc zapłacić podatek za naukę prak-



tycznego urzędzenia życia, ponadto każdy miał wydatki reprezentacyjne — bo prawie w każdej szkole witano ich przyjęciami, za które trzeba było się rewanżować.

Przed wyjazdem z Paryża zaprosiłem na śniadanie dowódców szkół wojskowych, w których studjowali nasi oficerowie, kilka godzin minęło na rzeczowej milej pogawędce.

Z Paryża wyjechałem na kilka dni do Włoch — do Turinu, celem zwiedzenia Szkoły Sztabu Generalnego i Politechniki Wojskowej. Zwiedziłem również znaną szkołę jazdy w Pinarollo.

Jechałem przez Modenę, wracałem przez Niceję.

(Dla ścisłości zaznaczam, że wojskowi w mundurach mieli w tym okresie zagranicą bilety kolejowe bezpłatne).

Był to koniec Listopada, Włochy przeżywały dnie bardzo ciężkie i burzliwe, zbliżał się termin pierwszych po wojnie wyborów do parlamentu, wszędzie kipiała agitacja, już nie tylko skrajno lewicowa, ale nawet i komunistyczna.

Podczas zwiedzania szkoły politechnicznej na której dziedzińcu stało wojsko, na placu zaczął zbierać się liczny tłum; nastrój był podniecony, czuło się, że wojsko jest niepewne. Dowódca szkoły proponował bym pozostał w gmachu zanim się tłum nie rozejdzie, podziękowałem grzecznie, ale nie zostałem.

Zacząłem iść wśród tłumu: względem nas zachowano się nawet uprzejmie, padło kilka przyjaznych okrzyków „Generale Pollacco” — okazało się potem, że polski orzeł był znanym w Turynie, gdyż pod miastem (w Santa Anna) mieścił się obóz jeńców polaków, z armij centralnych; większość ich zgłosiła się do naszych formacyj i nosiła orzelki.

Jak inaczej znalazłem Włochy, gdym w roku 1923 pojechał do Rzymu — ile zmian zasadniczych! Dokonało to gorące umiłowanie Ojczyzny przez umiejętnego i energicznego kierownika nawy państwowej.

W powrotnej drodze z Włoch dzień był pochmurny, w Nicei postanowiłem zanocować.

Rano podchodzę do okna podnoszę storę i w jednej chwili literalnie zalewa mnie słońce: przed oczyma wspaniała panorama sinego nieba i morza.

Oczarowany widokiem chwilowo nie zdawałem sobie sprawy — czy to sen czy rzeczywistość?

Nie chciało się wierzyć, że gdzieś na dalekich bagnach północy, żyją bez światła i słońca miliony ludzi, nie chciało się wierzyć, że po tych bagnach nadal snuje się krwawy koszmar teroru...

Wracaliśmy inną drogą — nie przez Pragę, a przez Wiedeń, gdzie zatrzymywaliśmy się tylko od pociągu do pociągu.

W mieście pełno było wojska włoskiego, które je okupowało: na ogół widziało się przygnębienie, ani śladu dawnej jowialności i dobroduszości wiedeńskiej.

Do Warszawy zdążyłem wrócić na nasze tradycyjne roczne przyjęcie 12 Grudnia. Mieszkaliśmy w obszernym zarekwirowanym mieszkaniu (niech Bóg dobry ratuje każdego od nieszczęścia mieszkania w zarekwirowanych mieszkaniach) można więc było poprosić dużo gości.

Córki francuskiego generała Spire i paru oficerów francuskich, zrobiły żonie miłą niespodziankę i odegrały w czasie przyjęcia komedijkę. Wspominam o tem dlatego, ponieważ na przyjęciu był i Nuncjusz Ratti, którego ten improwizowany spektakl bardzo ubawił.



Nuncjusz oświadczył przy tej okazji, że ostatni raz był w teatrze — jako dziecko.

Święta spędziliśmy w szczupłym gronie rodzinnym i moich najbliższych współpracowników, z którymi łączyła nas ścisła przyjaźń.

Nie zatrzymuję się nad całokształtem prac Sejmowych w okresie roku 1919 o sprawach Sejmowych będę mówił dalej, ale zaznaczę tylko, że w społeczeństwie wzmağa się coraz większe rozczarowanie i rozgoryczenie.

Dla charakterystyki przytoczę wyniki 2 głosowań: sprawa tak doniosła i obfita w skutki na długą, długą metę — bo przedewszystkiem odstrasza „kapitał” od lokaty w Polsce: sprawa o reformie rolnej — przechodzi w Sejmie większością jednego głosu!! Ale za to sprawa djet poselskich (w rozmiarze uposażeń wiceministrów) — przechodzi jednogłośnie...

---

## IV

## Rok 1920.

Przystępując do opisu biegu wypadków i przeżyć w roku znamienym i doniosłym nie tylko dla Polski, ale i dla całej Europy.

W roku 1920 próba rozpowszechnienia — za pomocą bagnetów, — nie tylko już hasałów ale i rządów komunistycznych po za obrębem b. Rosji w kierunku na zachód zastała wstrzymana przez Polskę.

Na litewskich, poleskich i mazurskich polach lawina fal bolszewickich została wstrzymana.

Urosły wały ochronne, za materiał na który zużyto nie żelazo i beton — a tysiące piersi naszych najlepszych synów Ojczyzny — którzy swoją serdeczną krwią scementowali te wały ochronne i obronili nie tylko swój kraj rodzinny ale i Europę od wylewu lawiny, groźniejszej od wulkanicznej, która niszczy tylko przedmioty, a tu szło o wprowadzenie teroru komunistycznego i o przymusowe narzucenie najpierw Polsce, a następnie i dalej na zachód „raju komunistycznego“ — a więc szło o zagładę kultury ludzkiej, o zatrucie dusz ludzkich...

Lawina ta szybkim pędem przez 4 miesiące rozlewała się po znacznej części kraju i w połowie



Sierpnia dosięga prawie przedmieścia Warszawy i nawet dalej — pod Płock.

Obficie lała się polska krew i ginał dobytek, ale ci biedacy, którzy chociaż chwilowo zaznali na swojej skórze czem są w rzeczywistości „rządy komunistyczne” — na zawsze przestaną dążyć do „raju komunistycznego”...

Przeżycia naszego narodu w tym wyjątkowym roku będą przez długie lata tematem licznych studiów i pamiętników, mojem zadaniem jest tylko wyświetlenie kroniki dziejowej, przeważnie w zakresie przeżyć osobistych...

Noworoczne przyjęcie odbyło się po raz pierwszy w pałacu Łazienkowskim i miało charakter ogólnopństwowy.

Rok temu zebrali się tylko wojskowi, teraz przybyli do Łazienek przedstawiciele Sejmu, rządu, duchowieństwo, korpus dyplomatyczny, władze wojskowe i cywilne, delegacje. Wygłaszano szereg urzędowych mów; stwierdziłem, że w dziedzinie form zewnętrznych poszliśmy znacznie naprzód i że Polska zajmuje już należne jej miejsce w gronie innych mocarstw.

Podczas przyjęcia w Łazienkach zwolennicy byłego premiera p. Paderewskiego urządzą demonstracyjną owację przed jego mieszkaniem, podkreślając tem swój protest przeciw obecnemu rządowi, miało się to powtórzyć i wieczorem w czasie galowego przedstawienia w teatrze Wielkim, ale plan spalił się na panewce.

Styczeń mija spokojnie, mimo, że na horyzoncie politycznym wschodu chmury zgęszczają się coraz więcej, nie przeszkadza to Warszawie bawić się bardzo szumnie.

Jednocześnie coraz intensywniejszą staje się agitacja bolszewicka, powstaje wprost kalendarzowa kolejka strajków; widocznie środków materialnych nie brakuje; bo agitacja uprawiana jest nie tylko w prasie komunistycznej i na wiecach, ale i scenach niektórych kabaretów, gdzie systematycznie ośmiesza się wszystko co jest polskie — fala komunizmu dociera nawet do ław Sejmowych, gdzie fluidy haseł komunistycznych znajdują adeptów — na szczęście bardzo nielicznych.

Życie w Warszawie wtedy było stosunkowo tanie, korzystają z tego co raz liczniejsze kolonie obcokrajowców, nie tylko robiąc wielkie oszczędności, ale, korzystając z naszej niskiej waluty, skupają dzieła sztuki, biżuterję.

Naogół nastrój w stolicy był dobry, po klubach i salonach bawiono się, dowcipkowano.

W kółkach wojskowych tematem dowcipów była często słaba znajomość języka polskiego u oficerów z byłych zaborów.

Opowiadano na przykład, że żona pewnego oficera z zaboru rosyjskiego, opowiadała zebranym na jej imieniny gościom, że mąż w prezencie — „podniósł jej sukienkę” (po rosyjsku „podmógł” znaczy „podaował” „ofirował”).

A na temat oficerów byłego austriackiego zaboru, kursowały odpisy „kawałków” i „konceptów”, składających się ze słów i wyrazów, których z pewnością nie znał ani Mickiewicz, ani Krasiński, ani Sienkiewicz.

Naogół żartowano dobroduszenie, czasami zdarzały się tylko nieporozumienia i „kawały” więcej dotkliwe.

Nie wiem do jakiej kategorii nieporozumień zaliczyć to co spotkało mnie samego.



Od 14 lat życia byłem bez przerwy zawodowym wojskowym, z początku jako kadet, potem przez 37 lat bez przerwy jako oficer i w tem od roku 1911 byłem generałem w służbie czynnej.

Tymczasem w Polsce przy pierwszej weryfikacji w 1920 r. „odmłodzono” mnie do tego stopnia, że znalazłem się na liście generałów Brygady i to nie na początku listy. Obok mnie generałami nawet starszemi odemnie zostaje sporo tak dalece młodszych służbą, że wtedy, gdym był już profesorem artylerji matematyki, oni ledwie zaczynali studjować — abecadło.

Rozumiem, że przy układaniu spisu starszeństwa pośród kilku tysięcy ludzi, z których znaczna część służyła w różnych zaborach, albo rozpoczęła służbę w formacjach utworzonych podczas wojny, mogły zajść omyłki i niedopatrzienia.

Rozumiem i to, że przy tej pierwszej weryfikacji, więcej praw i przedewszystkiem moralnych, musieli mieć ci, którzy przez lata całe pracowali i walczyli o niepodległość narodu, ponosząc wszystkie życiowe konsekwencje, nie tylko względem siebie, ale i swoich najdroższych, aniżeli ci polacy wojskowi obcych zaborów, którzy służyli w obcych armjach, przyjechawszy do Polski (i niezawsze dobrowolnie) zaczęli żądać dla siebie kierowniczych stanowisk.

Pewien „klucz” miał turację bytu, ale przy jednym zastrzeżeniu: podstawą układu nowych stosunków winna być bezwzględna sprawiedliwość i przyszła praca mieć podłożem tylko cele Państwowe i oparta o fachową wiedzę.

Jako wojskowy nie uważam za wskazane dłużej zastrzymać się nad tem — pomyłki, bez złej woli, mogą być — ten się nie myli kto nie nie robi, ale co do mnie, to nie zważając na kilka służbowych meldunków z prośbą

o skorygowanie i w roku 1922 zwolniono mnie w stan spoczynku właśnie tylko z powodów formalnych że—jako generał brygady przekroczyłem wiek prekluzyjny (57 lat)...

Jednocześnie spotkał mnie i bardzo przyjemny dla mnie zaszczyt — przy wyborach do pierwszego Generalskiego Sądu Honorowego, miałem największą ilość głosów, z początku oświadczone mi, że zostałem przewodniczącym sądu, później jednak okazało się, że przewodnictwo obejmie generał starszy rangą.

Zbliża się Wielkanoc. Od lat dziecinnych było to dla mnie święto radosne. Przypisuję to okoliczności, że większą część życia spędziłem w ponurym i mroźnym Petersburgu, w którym nadchodząca wiosna, z budzącą się z letargu naturą jest czemś specjalnie miłym i radosnym.

We środę wielkiego tygodnia zawiadomił mnie Szef Sztabu, żeznaczono mnie przewodniczącym Komisji, która musi jak najprędzej wyjechać na front do kwatery głównej armii generała Iwaszkiewicza.

Wyjechaliśmy w piątek po południu. Skład komisji był mieszany — składała się z polskich i francuskich oficerów; przyczyną stworzenia komisji był meldunek oficera sztabu marszałka d'Esperay, że go obrażono na terytorjum polskim.

Komisja miała do swej dyspozycji specjalny pociąg, składający się z wagonu salonowego, sypialnego, lory na samochody i wagonu pieca.

Do Lwowa przyjechaliśmy w wielką sobotę rano.

Korzystając z kilkugodzinnego pobytu odwiedziłem podchorążego, który zapadł na tyfus.

Muszę tu wyrazić swe głębokie uznanie dla pełnej poświęcenia pracy lekarzy szpitalnych.

A ciasno i niewygodnie było wtedy instytucjom wojskowym bardzo. W tym samym Lwowie



dla jednego z naszych licznych wtedy kursów dla żołnierzy, przydzielono lokal gdzieś na krańcu miasta, w wąskiej uliczce; gdy przy inspekcji zapytałem dla czego okna frontowe zamalowane białą farbą, odpowiedziano mi, że powodem tego zarządzenia jest mieszczący się naprzeciw — dom rozpusty.

Dość obfity materiał przestudjowaliśmy w pościagu, pracę przedwstępną skończyliśmy w sobotę wieczór, i dość późno rozeszliśmy się do swoich przedziałów.

Nadchodziła uroczą noc wielkanocna. Tłoczą się wspomnienia: Korpus Kadetów, „zautrenia“ („jutrznia“) w otoczeniu kolegów, na pancernikach, przytulne i miłe kościołki litewskie, rezurekcje na cmentarzu Wyborskim, bądź w kościele św. Katarzyny; przepych i pompa na uroczystych przyjęciach w noc Wielkanocną, bądź w pałacu zimowym Cara, bądź w pałacu Wielkiego Księcia Włodzimierza. Niejedną noc wielkanocną spędzałem w Moskwie, pamiętam feerycznie oświetlony Kreml, tysiączne tłumy z duchowieństwem w bogatych ornatach na czele, solenne śpiewy „Chrystus zmartwychwstał“, radosny głos dzwonów całej Moskwy z „Carem dzwonów“ na czele...

Wszystko to należy do przeszłości, jak przeszłością niepowrotną są czasy Skrzetuskich, Wołodjowskich, Podbipietów...

Siląc się, rozejrzeć się w oświeconej bladym blaskiem księżyca, przesuwającej się przed oczyma malowniczej okolicy, myśl leci mi hen do tych czasów, kiedy właśnie w tych oczeretach i jarach przesunęło się bądź nasze rycerstwo, bądź hordy tatarskie... Wczesnym rankiem przybyliśmy do Tarnopola.

Po konferencji z generałem Iwaszkiewiczem,

udaliśmy się z nim razem, na nabożeństwo, a potem na rewję. Czuło się, że generał Iwaszkiewicz ma mir u żołnierzy.

Po spożyciu święconego u generała, udaliśmy się w dalszą drogę do Kamieńca Podolskiego.

Pochłonięci pilną pracą, nie znaleźliśmy czasu na dłuższe zwiedzenie tego historycznego miasta, widocznem jednak było na każdym kroku, że element polski nie jest w Kamieńcu dominujący.

Komisja załatwiła swą pracę szybko i sprawnie, wracając, we wtorek wieczór dojeżdżając do Lwowa, podpisaliśmy wspólny protokół, zredagowany w języku polskim i francuskim. Do Warszawy wróciliśmy już we środę. Tego samego dnia złożyłem wskazanym czynnikom wyczerpujący raport...

Chmury na horyzoncie politycznym zaczynają gęstnieć, staje się jawnem, że wojna z bolszewją jest nieunikniona.

Czynnego udziału w wojnie nie brałem, nie chcę więc opisywać dziejów tych kilku miesięcy, tak dobrze znanych większości mych czytelników.

Poważniejsze działania wojenne rozpoczynają się w początku Maja.

Wiadomość o zajęciu przez nasze wojska Kijowa rozeszła się radosnem echem po całym kraju.

Do dziś dnia niezupełnie wyraźnie zdaję sobie sprawę z przyczyn rozpoczęcia akcji na froncie południowym, rozumiuję jednak tak: szło o to, żeby nie dać możliwości połączyć się dwóm armjom bolszewickim — południowej i północnej, która przez całą zimę formowała się tajemnie, aż w dalekiej Wołogdzie. (Mojem osobistem zdaniem było wtedy, że punktem naszych głównych centralnych operacyj



powinien być być od początku front północny—choć zastrzegam się, że sprawy tej gruntownie nie znam).

Z okazji powrotu Naczelnika Państwa z Kijowa, odbyło się 18 Maja solenne nabożeństwo w kościele św. Aleksandra; ogólny zapał był tak wielki, że młodzież wyprzęgła konie z powozu Naczelnika Państwa i wśród entuzjastycznych okrzyków bardzo licznego tłumu zawiozła go do Belwederu, gdzie zebrali się członkowie Sejmu, generalicja i przedstawiciele stronnictw politycznych.

Naczelnik Państwa opowiadał nam o swym pobycie w Kijowie, gdzie bawił incognito.

W kilka jednak dni potem zaczynają napływać z frontu wieści coraz smutniejsze.

Kawalerja Budiennego przełamuje zadaleko wysunięty nasz południowy front.

Wilno oddane bez strzału. Armja generała Majewskiego cofa się coraz szybciej. Wojska nasze nie zatrzymują się nawet na znakomitej „pozycji Hindenburga”, którą Niemcy w okresie wojny wszechświatowej doskonale ufortyfikowali.

Na razie ja, i zapewne większość społeczeństwa nie przypuszczała, że już w początku Sierpnia fale wojsk bolszewickich zaleją kraj i dojdą aż pod Radzymin — a więc tuż pod Warszawę...

Tak byłem daleki od tych myśli, że w pierwszej połowie Lipca wyjechałem do Francji.

Po za inspekcją naszych oficerów chciałem na miejscu zasięgnąć opinii francuzów o opracowanym przez nas planie szkolnictwa wojskowego, (o którym wspomniałem w rozdziale o szkolnictwie).

W dniu przyjazdu do Paryża dowiedziałem się że minęłam się w drodze z synem, który wobec

wypadków na froncie wracał do kraju, żeby wstać w szeregi armii czynnej.

Spędziłem we Francji 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> tygodnia, przez cały czas byłem bardzo zdenerwowany; nastrój zdenerwowania wyczuwałem również u naszych oficerów na studjach, większa część których rwała się na front.

Przyjechałem w wilgę dnia święta Narodowego. Jak inaczej reagowało się na tą uroczystość będąc teraz, niespokojny i moralnie przybity, niż za dawnych, przedwojennych czasów, gdy dzień zdobycia Bastylji spędzać kilkakrotnie wypadło w Paryżu.

W Paryżu zastałem pp. Paderewskich, Pilców, Pałka i generała Rozwadowskiego, który w tym okresie został zawezwany do Spa, skąd tylko co przyjechał p. Patek, który, wedle jego słów, nie zgadzając się z bawiącym w Spa p. premierem W. Grabskim, co do podstaw naszych pertraktacji z Bolszewją, które narzucał Polsce, obecny tam angielski premier Llojd Dżordż (w sprawie smutnej pamięci „linji Cursona” naszych granic), podał się do dymisji jako minister spraw zagranicznych.

Musiałem pojechać na parę dni do Włoch, zwiedzić na Pina uczelnie wojskowe.

Rwalem się do kraju; gdym przybył na Gare du Nord w samochodzie naszej misji wojskowej, ozdobionej orłami polskimi, ktoś na peronie zaczął namawiać mnie żebym nie wracał do Polski, bo Warszawa będzie lada dzień zajęta. Wróciłem do Warszawy 3 Sierpnia.

Trudno mi było określić, czy sam jestem zbyt przedenerwowany, czy dostałem się w otoczenie ludzi niezupełnie normalnych.



Wielu zdradzało zatrwajające przygnębienie nastrojów panował ciężki.

Bolszewicy byli już w 60 kilometrach od Warszawy.

Rozpoczęła się ucieczka, ale co prawda przeważnie tylko ludzi „ze sfer towarzyskich” i częściowo tych, którzy zeznali na sobie skutki „raju komunistycznego”.

Po za sferami towarzyskimi ludność Warszawy dawała na każdym kroku dowody głębokiego patriotyzmu i poczucia obywatelskiego. Jestem przekonany, że gdyby hordy bolszewickie dotarły do Warszawy, spotkałyby się z oporem naszego „trzeciego stanu” pełnego patriotyzmu.

W parę dni po moim powrocie przyjeżdża do Warszawy Szef Sztabu marszałka Focha — generał Wejgang.

9 Sierpnia powstaje nowy bezpartyjny gabinet z premierem Witosem na czele; ministrem wojny zostaje generał Sosnkowski.

Bolszewicy wciąż zbliżają się do Warszawy, następuje ewakuacja urzędów; część moich biur ma być przeniesiona do Poznania, część do Krakowa, dzięki Bogu nie doszło do tego, — nie ruszyliśmy się z Warszawy.

Po za dokumentami, inwentarzem i archiwum załadowaliśmy kilka wagonów papieru drukarskiego, gdyż dla naszych wydawnictw trzeba było kupować papier na zapas, ze względu na rosnącą wciąż jego cenę.

9 Sierpnia żona, poważnie chora, wyjechała do Łobzowa; syn wstąpił do sztabu generała Latinika, gdzie pracował od rana do późnej nocy. W noc

z 12 na 13 Sierpnia miały wybuchnąć rozruchy komunistyczne w Warszawie; z wielką trwogą oczekiwałem powrotu syna — wrócił nad rankiem i oświadczył mi, że brał udział w aresztowaniu komunistów w ich mieszkaniach.

Rozpoczęła się decydująca walka pod Radzyminem.

W przełomowy dzień 15 Sierpnia w czasie bardzo wczesnego posiedzenia, które odbyło się w gabinecie ministra, dowiedzieliśmy się od niego o przebiegu operacji pod Radzyminem i o pierwszych decydująco pomysłnych dla nas wyników walki — nie trzeba chyba dodawać, że ogarniało nas wszystkich uczucie szczerzej radości...

Pod wieczór na placu Saskim stały oddziały jeńców bolszewickich; przyglądałem się uważnie tym ordynarnym twarzom, których prośbą i groźbą dopchano pod mury Warszawskie, obiecując im, że można będzie „pohulać” w Warszawie...

Dowiedziałem się później, że naszym więźniom politycznym w Butyrskim więzieniu w Moskwie opowiadano tego dnia, że Warszawa wzięta i w Moskwie wiwatowano z okazji tego zwycięstwa.

Trzeba zaznaczyć, że zręczny i przebiegły rząd komunistyczny potrafił wojnę z Polską spopularyzować w całym kraju i nie tylko zwolennicy rządów komunistycznych, ale jak mi mówiono i większość elementów wrogich komunizmowi, uważała tę wojnę za narodową i cieszyła się z naszych klęsk.

Minał wielki dzień „cudu nad Wisłą”...

Od tej chwili coraz szybciej odpływały fale szarańczy i nie tylko już od Warszawy, Grodna, Brześcia, a dalej aż — pod Dźwinę, Dniepr...



Działania wojenne trwają jeszcze do Października, pokój został zawarty w Rydze 12 Października (byłem tego dnia w Bydgoszczy).

Pzypominam jak w okresie pierwszych dziesięciu dni po 15 Sierpnia były w Warszawie bardzo modne wyjazdy w okolice Radzymina — „na front”.

Żona moja powróciła do Warszawy dopiero w początku Listopada, w tym że czasie powrócił z frontu i syn.

W Warszawie praca moja idzie trybem normalnym.

W początku Października wyjeżdżam do Poznania, skąd jadę samochodem przez Gniezno do Bydgoszczy.

Pierwszy raz zwiedzałem te okolice i poznałem jezioro Gopło.

W Gnieźnie zatrzymałem się żeby zwiedzić katedrę, rozglądając się w szczegółach, na razie byłem zaskoczonym, że będąc tu poraz pierwszy widzę rzeczy mi znane, staram się uświadomić sobie, skąd to pamiętam i konstatuuję, że żyją we mnie rysunki katedry, naszkicowanej podczas jednego z wykładów na kursach pedagogicznych przez profesora Nowakowskiego.

Po odwiedzeniu katedry poleciłem szoferowi zawieść nas do restauracji na śniadanie, wówczas szofer zwrócił się do mnie z prośbą, bym zamiast restauracji zechciał zaszczyścić swoją osobą jego rodzinę, która mieszka o 20 kilometrów od Gniezna, w drodze do Bydgoszczy — zgadzam się chętnie. Po upływie półgodziny podjeżdżamy do nich, wprowadzają nas do miłego pokoju, na którego czysto wy-

bielonych ścianach wiszą fotografie w ramkach, był i portret Kościuszki.

Na stole zasłanym czystym cienkim obrusem zjawia się jajecznica z szynką i inne wiejskie smakołyki; z wielkim trudem udaje mi się namówić uprzejmą gospodynię — teściową naszego szofera — by zasiadła z nami przy stole (jechałem z adjutantem.)

Po chwili nadchodzi z pola mąż — właściciel 100 morgowego gospodarstwa; mimo zaproszeń stanął w drzwiach i nie chciał usiąść przy stole.

Wszystko okazywało dobrobyt i pewną kulturę. Jakże daleko od tego — nie tylko naszym białoruskim chatom, czasami i dziś jeszcze, gdzie niegdzie „kurnym”, (bez komina) ale nawet niektórym i naszym sędziwym, i często i wiekowym przytulnym dworcom litewskiej zaściankowej szlachty! Ale ile tych ostatnich znikło w czasie wojny wszechświatowej i pożogi w okresie teroru komunistycznego!..

Rozumie się, że o żadnej zapłacie nie mogło być i mowy, nawet i nazajutrz, przed wyjazdem do Warszawy udało mi się z wielkim trudem wręczyć gościnnemu gospodarzowi — szoferowi — sutu napiwek.

Do Bydgoszczy przyjechaliśmy około 4-ej. Jeszcze w Poznaniu burmistrz Bydgoszczy (p. Maciaszek) zaprosił mnie na obiad, urządzony przez miasto na cześć kardynała Dalbora.

Przy obiedzie siedziałem obok kardynała. Opowiadał, że akurat 4 lata temu, z powodu wyświęcenia go na arcybiskupa, w tej samej sali, przy tym samym stole, wydano również obiad na jego cześć; taka sama — mniej więcej — liczba gości, tak samo



wyłożono szereg przemówień i śpiewały chóry, obok również siedział generał — ale mowy wygłaszane były w języku niemieckim, chóry śpiewały po niemiecku, a sąsiadem był — generał pruski...

Następny dzień mego pobytu w Bydgoszczy był rekordem ruchliwości: o 7-ej rano powitałem na stacji ministra spraw wojskowych generała Sosnkowskiego, od którego dowiedziałem się, że zajęliśmy już Wilno.

Potem, jeszcze przed nabożeństwem, oglądałem szczegółowo gmach, w którym miał być umieszczony korpus kadetów, następnie polowa msza, rewja, popisy sportowe, śniadanie dla ministra w kasynie wojskowym, wizyty urzędowe, koncert dzienny i obiad w szkole oficerskiej, przedstawienie w teatrze miejskim, na które zaprosiła mnie delegacja artystów, przedstawienie w świetlicy żołnierskiej, kolacja w licznym gronie oficerów i o 2-ej w nocy odjazd do Warszawy.

Do Warszawy dochodzi wiadomość o podpisaniu w Rydze rozejmu przez pana pośła Dąbskiego i delegata bolszewickiego — przelew krwi na polach walk ustaje (Ratyfikacja pokoju następuje dopiero 18 Marca 1921 r.)...

W końcu roku, resztki byłych armji rosyjskich antybolszewickich, pod dowództwem Wrangla zostają zmuszone do opuszczenia ostatniego skrawka ziemi ojczystej — Odessy i półwyspu Krymskiego.

Zwalczeni zostali nie tyle przez armję czerwoną i jej wodzów, jak przez zręczną agitację wśród żołnierzy, chaos i bezład.

Armji niebolszewickiej na terenie Rosji już niema.

Bolszewicy są panami położenia na całym obszarze byłej Rosji.

„Krew stygnie” przy czytaniu i słuchaniu opowiadań o mordach i krwawym terrorze jaki się srożył w Odesie i na Krymie — strumienie krwi lały się do Czarnego morza...

W Warszawie życie powoli wchodzi w normalne tryby.

Zbiera się Sejm i przystępuje do szczegółowej dyskusji nad projektem Konstytucji.

Z powodu przyjęcia przez Sejm, przy układaniu Konstytucji dwu izbowości, przez miasto ciągną się pochody, lewica protestuje, prawica wyraża zadowolenie.

Nie tylko wojna, ale typ życia Państwowego „nad stan”, dają się coraz bardziej we znaki.

Waluta nasza spada w coraz szybszym tempie, w Grudniu 1919 r. płaciłem za frank francuski około 3-ch naszych marek, a w Grudniu 1920 r. z górą 40. Ale czy można było przypuszczać jakie ciężkie próby czekają nas jeszcze w tej dziedzinie i już w najbliższej przyszłości...

W końcu Listopada ustępuje minister skarbu p. Wł. Grabski, tekę obejmuje p. Steczkowski.

W Sejmie zaciętrzewienie partyjne coraz większe, dochodzi czasami i do brutalnych scen nawet i na publicznych plenarnych posiedzeniach; jednym z posiedzeń poseł — były minister M. nie-

...nie, ale kopując najsłabsze elementy parlamentu próbują... nie ograniczając się... przyniesiony z sobą jak... przemówień — gra na tej piś-



Wzajemna partyjna animozja wzmagą się i poza murami Sejmu — w prasie, na zebraniach...

W dniu wręczenia Naczelnikowi Państwa, przez delegacje wojskowe, buławy marszałkowskiej, prasa „prawicowa” występuje z szeregiem artykułów przeciw Naczelnikowi Państwa i tegoż dnia urządza się „akademja”, na której poseł (ksiądz L.) występuje z ostrą krytyką rządu...

## V.

Rok 1921.

### Przeżycia osobiste i społeczne. Nowa nominacja.

Noworoczne uroczystości odbyły się znów w pałacu Łazienkowskim; panował większy ład i porządek, niż przed rokiem.

W drodze do Łazienek miałem taki wypadek: przez plac Trzech Krzyży jechaliśmy stępą, bosporo było ludzi wychodzących z kościoła. Padał deszcz, buda była opuszczona, nagle słyszę krzyk, — patrzę jakaś pani w żałobie leży na ziemi tuż około powozu. Powóz zatrzymaliśmy, pomogliśmy nieznajomej wstać i zanieśliśmy ją do apteki. W aptece pani chwyciła mnie za rękę i mówi mi, że ma — złamaną kość pancerzową...

Chcemy jej zdjąć kapelusz — nie pozwala: „bo nieuczesała”, nie martwię się już o stan jej kręgosłupa i uspakajam się zupełnie, gdy po poznaniu jej — była to wdowa po zabitym przez bolszewików poruczniku L. — na zapytanie zwrócone do mnie przy spisaniu protokołu: ile lat tej pani, wiedząc, że ona ma od pierwszego małżeństwa chłopca lat około 17 „ogłędnie” powiedzia-



łem — 36, ale ona przerywa mnie — „nie panie generale tylko 33”.

Odwieźliśmy ją do szpitala, skąd po kilku dniach wyszła zupełnie zdrową, bo żadnych uszkodzeń nie było.

W początku Lutego wyjeżdżał do Francji Naczelnik Państwa; sądząc z gazet, przyjęcie w Paryżu było godne. Cała podróż trwała krótko. Naczelnikowi Państwa asystowali ministrowie spraw zagranicznych (ks. Sapieha) i wojny (gen. Sosnkowski), obaj zostali udekorowani Legją honorową pierwszej klasy.

W okresie pierwszych trzech miesięcy społeczeństwo było zaabsorbowane trzema sprawami — ogłoszeniem Konstytucji, sprawą plebiscytu na Śląsku i ratyfikacją pokoju z Sowieciami.

Przebieg debatów w Sejmie na tle spraw konstytucyjnych, wzbudzał w społeczeństwie wielkie zainteresowanie. Zazarta polen. „wiejskiej”

(w Sejmie) i prasie szła o więk.

a zwłaszcza sprawa „dwu izbowości”.

§ 35 — o Senacie — został przyjęty w.  
tylko 11 głosów (195:184).

Pozatem czerwoną nicią przejawiała się chęć ograniczenia praw Prezydenta Rzeczypospolitej do minimum; wydawało mi się, że większą rolę grała tu obawa przed indywidualnością, jako taką, niż sprawa zasad i przekonań.

U wielu to wszystko wywoływało smutek i gorycz.

Nie zatrzymuję się tu na szczegółach, ale chcę jeszcze wskazać, że załatwienie sprawy ordynacji wyborczej w ten sposób, że wybory będą z list, zamknęły możliwość wejścia do Sejmu i Senatu nawet

najwybitniejszych w kraju jednostek — o ile oni nie pójdą z góry, do bezwzględnej duchowej niewoli promodyrów, układających partyjne listy.

16 Marca skończyło się „trzecie czytanie” i głosowanie wszystkich 120 paragrafów projektu.

17 Marca odbyło się formalne głosowanie naszej Konstytucji, rozpoczynającej się od wstępnych słów „W Imię Boga Wszchemogącego”...

Tego dnia odbywała się wspaniała procesja posłów i ludności do Katedry. Nie mogłem wziąć w nim udziału z powodu zajęć służbowych, ale myślą i sercem byłem razem z tymi, którzy wzięli w procesji udział...

18 Marca został podpisany w Rydze pokój z Bolszewikami.

Co do spraw naszych na Szlązku, to w miarę zbliżania się terminu plebiscytu powiększało się ogólne zdenerwowanie. Podstawą tego zdenerwowania były smutne wyniki plebiscytu na Mazurach; ponadto społeczeństwo czuło, że wobec silnego i dobrze zorganizowanego przeciwnika, walka będzie bardzo ciężka i tembardziej, że po za Francją, musimy liczyć niemal tylko na własne siły. Anglja z Llojd Dżordżem na czele nie należała do naszych zwolenniczek na Śląsku, a słaby rząd Nittiego we Włoszech — chwiejący się przed widmem komunizmu nie dawał żadnej nadziei, że Włosi będą nam rzeczowo pomagać.

O przebiegu kampanji plebiscytowej opowiadał mi syn, który od świąt Bożego Narodzenia, aż do ostatnich dni wyjazdu naszej delegacji jesienią, przebywał na Śląsku (w Opolu).

Pamiętam jego opowiadanie o Nowym Roku — witali go w Opolu uzbrojeni w rewolwery i granaty



ręczne, gdyż tłum szowinistów przyjął groźną, zaczepną postawę.

19 Marca odbył się plebiscyt na Śląsku, z którego wyszliśmy, bądź co bądź, zwycięsko, jeżeli weźmie się pod uwagę obfitą w środki materialne, planową i systematyczną agitację niemiecką.

W dniu 21 Marca jestem obecnym na nabożeństwie dziękczynnym z okazji pomyślnych wyników plebiscytu.

Entuzjazm mój stłumił nieco marszałek Trąpczyński, mający cały szereg zastrzeżeń i obaw.

Tak czy inaczej przyznać trzeba, że osiągnęliśmy „na froncie Śląskim” wielkie zwycięstwo, uzyskując kraj bogaty, uprzemysłowiony.

Napężenie nerwowe mija, życie wchodzi w normalne tryby.

Praca idzie dawnym trybem, ale są i zmiany: szkolnictwo wojskowe przechodzi pod kompetencję Szefa Sztabu (Departament Szkolnictwa Wojskowego przekształca się w Oddział III Sztabu Generalnego).

Część najbliższych współpracowników, z którymi pracowało się od pierwszych dni, odchodzi.

W kwietniu wyjeżdżałem znów na parę dni do Poznania i stwierdziłem, że praca kulturalno-oświatowa przyniosła tam dobre rezultaty.

Pracą w tym zakresie bardzo interesowało się i wyższe dowództwo, nawet były wyznaczane nagrody za wzorowe prowadzenie ogrodów warzywnych przy oddziałach, za upiększenie zielenią koszar etc.

Otworzyliśmy w Poznaniu szkołę fizycznego wychowania, praca szła sprężysto i dobrze; jedynie warunki życiowe kilkudziesięciu oficerów, którzy zostali do szkoły delegowani—były bardzo ciężkie, mieszkali

w pułkowych koszarach, po kilku razem w jednym pokoju i bez najmniejszego komfortu.

W tym właśnie czasie jeden z Dyrektorów Banku, sam z własnej inicjatywy zaproponował mi zająć się mojami interesami finansowymi, a mianowicie, o ile dostanę w kredyt większą sumę, on przyrzeka mi, że operując kupnem i sprzedażą akcji, zrobi z tego dla mnie dobry interes.

Dodać do tego muszę, że na sobie skonstato-  
wałem jak łatwo bierze się ludzi — na pochlebstwa. Bo trzeba powiedzieć, że ten mój przysły „ptak błękitny” zaczął od tego: że „o ludziach takiej miary jak p. Generał, pracujących dla społeczeństwa — musimy myśleć my”...

Poszłem i ja „za duchem czasu” — kredyt znalazłem, ale pożyczka ta dała się mi bardzo we znaki, bo mój opiekun (a jak potem okazało się i wielu innych — podobnych mi) kupował akcje tych przedsiębiorstw, w których brał czynny udział w zarządach i które, jedno po drugim, przeważnie z powodu braku środków obrotowych, szybko zakończyły swój krótkotrwały anemiczny żywot...

5 Maja odbył się uroczysty obchód stulecia śmierci Napoleona, całość wypadła bardzo uroczysto i godnie.

Uroczystość rozpoczęła się od mszy polowej na placu Saskim, zapełnionym wojskiem i publicznością, nad którą krążyły aeroplany.

Po nabożeństwie salwa armatnia (w ogrodzie Saskim) i rewja (na placu Napoleona — byłym Wareckim), następnie akademja w Radzie Miejskiej i przedstawienie w teatrze Wielkim.

Kult Napoleona nawet do dziś dnia ma wielu zwolenników w Polsce, z tą epopeją są związane



wspomnienia o naszych legionach, o naszych wybitnych bohaterach, o przeżyciach narodowych w okresie 1805—1812 latach; nawet powstanie 1830 r. było przecież w pewnej mierze połączone z tym kultem.

W tym czasie została ogłoszona pierwsza lista wojskowych polaków odznaczonych Legją Honorową, w liczbie 60 z górą osób — mnie w niej nie było; ubodło to mnie, choć znałem dobrze przyczyny pominięcia mnie: układał ją generał Nissel, z którym (jak już wspomniałem), miałem szereg nieporozumień w roku 1917 w Piotrogradzie: na temat zasilania oddziałów frontowych alliantów naszymi żołnierzami.

11 Maja dowiedziałem się, że w sprawie Śląskiej: podziału terenów na Śląsku — Niemcy zgodzili się na warunki, które im podyktowała Ententa — ogólne zdenerwowanie mija, bo są podstawy do przypuszczenia, że na Śląsku będzie przyjęta „linja Korfantego“.

Jako przykład ogólnego zdenerwowania mogę przytoczyć fakt, że kiedy w pierwszych dniach Maja do Warszawy przyszła wiadomość, że komisja międzysojusznicza w Opolu ma zdecydować na naszą niekorzyść sporną sprawę podziału — w Warszawie odbyły się pochody protestu, tłum gwizdał i krzychał przed poselstwami: angielskim i włoskim.

Jako jeszcze przykład mogę przytoczyć fakt, że w Maju z korpusu Kadetów we Lwowie uciekło 47 kadetów na Śląsk, do oddziałów frontowych, połowę zatrzymano w drodze, a połowa do tarła i walczyła na froncie.

W Ministerstwie Spraw Wojskowych przystąpiono go szeregu reform, zakres mojej działalności

i kompetencji w sprawach szkolnictwa wojskowego miał ulegć poważnej redukcji...

W początku Czerwca wyjeżdżał z Polski nuncjusz Papieski monsignor Ratti, obecny Papież Pius XI.

W czasie jego pobytu w stolicy mieliśmy wielki zaszczyt przyjmować go u nas w domu.

W Warszawie odbyło się jego wyświęcenie na arcybiskupa; brałem w tej uroczystości udział, gdyż nuncjusz sam ułożył listę osób, którzy mieli wziąć udział w czasie konsekracji, byli na niej przedstawiciele ziemiaństwa, włościanstwa, mieszczaństwa i wojskowości; hr. M. Sobański i ja niesiliśmy w czasie procesji „dary Boże“.

Ostatni raz nuncjusz celebrował mszę w katedrze w dniu Bożego Ciała, a następnie szedł na czele procesji.

Tłumy zalewały ulice.

Obok nuncjusza, niosącego dość ciężką monstrancję, szła asysta, która zmieniała się przy każdym z czterech ołtarzy; w liczbie ich byli: Marszałek Sejmu Trapczyński, premier p. Witos, prezydent miasta p. Drzewiecki, prezes Rady Miejskiej p. Baliński, dwóch ministrów i dwóch generałów, w liczbie ich i ja. Szliśmy od ostatniego ołtarza do katedry, na placu Zamkowym procesja zatrzymała się i nuncjusz pobłogosławił zebranych podniesioną monstrancją. Dzień był bardzo upalny. Miałem wrażenie, że poza wielkiem zmęczeniem, na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie.

Kiedy ruszyliśmy dalej czuję, że nuncjusz przy-ciska mą rękę, trzymającą go pod łokieć — trzymałem ją jeszcze mocniej, w przekonaniu, że jest to odruch zmęczenia.



Nazajutrz byłem na pożegnalnym śniadaniu, wydanem dla niego przez ministerstwo spraw zagranicznych. Śniadanie trwało zgórą dwie godziny, siedziałem obok Rattiego, nuncjusz rozmawiał ze mną bardzo wiele. Zaczął od tego: „com myślał wczoraj, gdy w czasie procesji na placu Zamkowym przycisnął mi rękę”: odpowiedziałem, że byłem przekonany, że był bardzo zmęczony i że to się stało odruchowo. „Wcale nie ze zmęczenia” — odpowiedział, — „ale błogosławiąc w ten sposób po raz ostatni Warszawę i kraj, który tak pokochałem — i z którego wyjeżdżam przez wielu niezrozumiany” (niektórzy działacze sarkali, na rzekomo niezyczliwe zachowanie się nuncjusza podczas plebiscytu na Śląsku) „byłem bardzo wzruszony w tak uroczystej dla mnie chwili” i, mówii dalej, „i właśnie wtedy ujrzałem obok mnie generała Jacynę — tego samego, z którym pierwszy raz urzędowo jechałem do Naczelnika Państwa”; kończąc rozmowę powiedział, „będę bardzo szczęśliwy, jeżeli Opatrzność Boska pozwoli mi dać dowody jak pokochałem Polskę”...

W tym okresie miałem sporo intensywnej pracy. Ze słów mego zastępcy pułkownika M. Kukiela dowiedziałem się, że z chwilą rozpoczęcia reorganizacji urzędów ministerstwa, on ma stanąć na czele szkolnictwa, a ja mam być wyznaczonym na inne stanowisko.

Nie będąc poinformowany bezpośrednio przez ministra i nie wiedząc ściśle kiedy ta reorganizacja ma nastąpić — pracowałem jak dotychczas i tak byłem pochłonięty pracą, że w czerwcu i lipcu mogłem sobie pozwolić jedynie na kilkogodzinny pobyt w Ciechocinku, w którym bawiła na kuracji moja żona —

tak ułożyłem plan inspekcji szkół w Bydgoszczy i Chełmnie, by mieć wolną niedzielę, spędziłem ją w Ciechocinku, w którym byłem po raz pierwszy. Dotychczas znałem zakłady zagraniczne: Karlsbad, Marienbad, Wisbaden, Baden-Baden i Contrexeville. Ciechocinek zrobił na mnie wrażenie dodatnie. Ułatwienia stworzone przez ministerstwo względem wojskowych i ich rodzin, przyczyniły się do niedrogich i kulturalnych warunków życia i dobrej kuracji; żona była bardzo zadowolona z pobytu w willi dla rodzin wojskowych.

Co do inspekcji szkół, to zwiedzanie ich było dla mnie pewnym odpoczynkiem i wielką moralną przyjemnością.

Zawsze lubiłem młodzież—w gronie młodych—sam się stajesz młodszym...

Na pożegnalnej kolacji, wydanej przez grono oficerów w Bydgoszczy, na pożegnanie zaśpiewano mi znany toast „sto lat, sto lat“ — na to zapytałem: „dlaczego mi tak źle życzyacie — dla mnie to za mało, mam już prawie sześćdziesiątkę“. Na ten mój protest, chór oficerski dodał życzliwie: „jeszcze sto, jeszcze sto“...

Trzeba było widzieć jakie ożywienie i wesołość panowała nie tylko wśród kadetów, ale i ich rodziców i krewnych, w czasie uroczystości zakończenia roku szkolnego.

Jak już wspominałem sporo kadetów dostało się na front, zachowywali się tam godnie i zasłużyli się Ojczyźnie, kilku złożyło w ofierze Ojczyźnie wszystko co mieli, bo własne życie.

W pamięci u mnie utkwiło kilka faktów — w roku 1920 jednak generałostwa Majewskich



zginął na froncie bolszewickim i co najtragiczniejsze, rodzice tak i nie dowiedzieli się o losie swojego dziecka: czy był zabitym, czy umarł od ran, czy zginął w niewoli — jak dziś widzę przed oczyma sympatyczną i miłą twarz tego młodzieńca. Miałem i inne ciężkie przejścia — sam mam jedynaka i dlatego z takim zrozumieniem bólu i męki jechałem do mieszkania pp. Chodkiewiczów, rodziców kadeta jedynaka, zabitego na Śląsku w czasie walk — wyrazić im moje współczucie. Odwiedzałem rannych kadetów w szpitalu. Był i taki wypadek — urzędowo zawiadomiono mnie, że kadet N. został zabitym. Matka pojechała na Śląsk szukać trupa — widziała dużo ofiar, ale trupa syna nie znalazła — wróciła rozbita i znękana, a po kilku tygodniach syn jej wrócił żywy i zdrowy — sprytnie, uciekłszy z niemieckiego obozu jeńców.

W tym okresie w Warszawie wypadało brać udział w całym szeregu uroczystości — powrót wojsk z frontu, zamknięcie kursów szkolnych — w korpusach, na różnych kursach oficerskich i w podchorążówce, zjazd sokołów, obchód narodowego święta francuskiego 14 lipca, zjazdy — Towarzystwa Wiedzy Wojskowej i Naczpola (Naczelny Wojskowy Polski Komitet) — prawie wszędzie musiałem mieć urzędowe przemówienia.

Poważny i miły charakter miały uroczystości promocyj na oficerów w Szkole Podchorążych.

Te kilka miesięcy, które oni spędzali w murach szkolnych były trudne nie tylko z powodu intensywnej i ciężkiej pracy — bo od rana do nocy czas był wypełniony wykładami i musztrą — ale utrudnieniem i tem, że nie tylko wiele czego brakowało w dziedzinie pedagogicznej, ale wewnętrzny reżym

był bardzo surowy, odrazu brano ich w bardzo ostre karby.

Ale nie zważając na to wszystko — młodość i szlachetna ideaowość brały górę — w tym liczonym zespole, który zmieniał się co 3—5 miesięcy, wyczuwało się młodzieńczy zapał i serdeczne umiłowanie kraju.

Chwile święta promocyj, a często i pożegnalne obiady w ich gronie — były dla mnie nie tylko przyjemnym wypoczynkiem, ale i duchową przyjemnością...

Tysiące ich pracują w wojsku, rozsiani po całym kraju. Ale wielu już i brakuje — kilka tablic marmurowych w szkole wskazują nazwiska tych, którzy na polach walk ponieśli w ofierze Ojczyźnie swoje młode życie.

Kiedy piszę o tem powstaje mnie przed oczyma obiad młodzieży oficerskiej latem 1920 r.: „prymus” kursu — młody Grabski — siedzi naprzeciw nas i w połowie obiadu, w imieniu całego kursu przemawia do nas.

W kilka tygodni przychodzi wiadomość, że został zabity na froncie...

Muszę się przyznać, że przez te pierwsze trzy lata pracy w kraju, wypadło mnie sporo nie tylko mówić, ale i jeść „ku chwale Ojczyzny”, bo wielu uroczystościom towarzyszyły przemówienia „przy stole”...

Dobrze, a czasami i porywająco przemawiali: z grona duchowieństwa — biskupi Teodorowicz, Bandurski i Gall, prałaci Szlagowski i Nowakowski, posłowie A. Wierzbicki, Daszyński, literaci Rabski i Niemojewski.



Nie mam odnotowanych streszczeń z przemówień, które mnie najwięcej wzruszały.

Ale obecnie przypominam sobie jeden z ustępów mowy p. Rabskiego, którego jako wybitnego mówcę poznałem jeszcze w 1917 r. na Zjeździe Wojskowych Polaków w Piotrogradzie, na jednym z przemówień on dowcipnie powiedział: Nasz sztandar „czerwono-biały”, „bo Polska jest ani „czerwoną”, ani „białą”, a — „czerwono-białą”.

Pozostała mnie również w pamięci piękna mowa p. Niemojewskiego wypowiedziana w Lipcu 1921 r. na zjeździe Sokołów...

W ogóle słyszało się sporo wzniosłych i pięknych przemówień, ale czasami zbyt za rozwlekłych i słuchając przypominał się stale — o czym już pisałem — ów znany aforyzm, że — piszący spieszył i z tego powodu, nie miał czasu ułożyć krótszego listu.

Z grona wojskowych wybitnych mówców, zdolnych porwać audytorjum nie było, ale trzeba przyznać, że rzeczowych i podstawowych przemówień w Sejmie wygłaszanych przez przedstawicieli wojskowości w komisjach i na plenum przeważnie słuchano z powagą.

Rzeczowo i dobrze przemawiał i ś. p. kardynał Dalbor, przypominam jedno z jego przemówień w Poznaniu po mszy polowej. Ustawiona kazalnica widocznie była za świeżo pomalowaną, bo kiedy w czasie przemowy, on opierał się o pulpit, a potem przykładął ręce do piersi — na czerwonej sutannie pozostawały czarne ślady rąk...

Pewnego dnia w niedzielę w Lipcu musieliśmy być z żoną tego samego dnia na dwóch uroczystościach, które nastąpiły kolejno. Najpierw byliśmy na

Dynasach na jubileuszu Koła sportowego, zebrały się tłumy publiczności — musieliśmy wyjechać przed końcem. W kilka minut po naszym wyjeździe zdarzył się przykry wypadek: jeden z motocyklistów wpada między publiczność, kalecząc kilka osób.

Rozkład dnia 14 Lipca był następujący: do 10 zajęcia w biurze, o 10 solenne nabożeństwo w Katedrze, o 11 udekorowanie orderami — polaków francuskimi i francuzów polskimi, następnie wojskowa rewja.

Od 1 do 2 przyjęcie u posła francuskiego Panafeu, od 2<sup>1/2</sup> do 4 w biurze. Po 4-ej przyjęcie w francuskim kasynie wojskowem, o 6-ej poświęcenie parostatku i przejażdżka Wisłą, w obecności posła francuskiego, przedstawicieli wojskowości francuskiej i kolonji francuskiej, o 8<sup>1/2</sup> galowe przedstawienie w teatrze „Pomarańczowym” — w Łazienkach, o 10<sup>1/2</sup> raut u hr. Zamojskich...

Dopiero w drugiej połowie Lipca dowiedziałem się bezpośrednio od p. ministra generała Sosnkowskiego, że mam być w bliskiej przyszłości mianowanym Generalnym Adjutantem Naczelnika Państwa, na razie zaś mam objąć stanowisko Szefa Misji Wojskowej we Francji.

Desygnacja do Francji była dla mnie zupełną niespodzianką, gdyż wiadomem było powszechnie, że do Francjiznaczono generała Majewskiego, który już zaczął składać wizyty pożegnane.

Potem dowiedziałem się, że to było wywołane pewnemi obiekcjami ministerstwa wojny we Francji, które dało do zrozumienia, że chciałoby widzieć na tem stanowisku nie tylko samych oficerów z byłej armji austriackiej — stanowisko to piastowali do-



tychczas generałowie Romer, Rozwadowski i Pomiankowski. Chociaż niewiem, czy ta moja hipoteza jest słuszna, gdyż bowiem w Listopadzie kiedy odwołano mnie na stanowisko Generalnego Adjutanta, następcą moim miał zostać tenże generał Majewski, nie stało to się jedynie dlatego, ponieważ ówczesny minister skarbu (p. Michalski) wymógł, z powodów oszczędnościowych, zupełne skasowanie tego stanowiska.

W krótkim czasie po tej rozmowie p. minister zawezwał mnie do siebie i zakomunikował, że muszę niezwłocznie jechać do Paryża. Jak już wspomniałem, prosiłem o kilkudniową zwłokę, ze względu na zjazd Naczelny, na którym jako były prezes Komisji wojskowej miałem wygłosić referat.

Po kilku dniach żegnała mnie na dworcu liczna gromadka bliskich, współpracowników i przyjaciół.

Z bólem i żalem rozstawałem się z tem, co przez przeciąg 32 miesięcy tak mnie pochłaniało...

Ostatnie słowa pożegnania, pociąg rusza powoli...

Jeszcze jeden okres życia skończony! Co będzie dalej?

Nie marnuj życia na skargi, zwątpienia,  
Na bezowocne zadumy,  
Świat pójdzie drogą swego przeznaczenia  
I pójdą za światem tłumy...

---

## VI.

Rok 1921.

### Pobyty w Paryżu. Objęcie stanowiska Generalnego Adjutanta.

W Paryżu odrazu wchłonął mnie wir życia służbowego i społecznego.

Dziwnie się plecie na tym Bożym świecie.

Znów jestem w tym Paryżu, który znałem tak dobrze z czasów przedwojennych, z którym łączyło i łączy tyle wspomnień z lat minionych.

Przedziwne to miasto łączy w sobie arcyharmonijnie — wielką wytężoną pracę z lekkością i frywolnością, z tem czemś co nazwać można — bez troską...

W pierwszym okresie sporo czasu zabierały urzędowe wizyty. Pocziwy mój nowy adjutant porucznik Castelas, od dłuższego czasu przydzielony do misji, obstałował odrazu kilkaset biletów wizytowych, po paru miesiącach zabrakło mi ich. Nic w tem dziwnego, musiałem przedstawić się wszystkim marszałkom, władzom wojskowym, korpusowi dyplomatycznemu, który w Paryżu jest tak liczny.

Misja moja miała po za charakterem czysto wojskowym, charakter techniczno-ekonomiczny, a mia-



nowicie: kontrolowanie dostaw amunicji bojowej, którą w poważnej ilości sprowadzaliśmy wtedy z Francji, ponadto była w toku likwidacja rozrachunków, wynikłych z wydatków formowania armji pod dowództwem generała Hallera i transportu jej z Francji do Polski.

Sprawa rozrachunków i zakupów była — i pozostawała aż do roku bieżącego, z wielką korzyścią dla sprawy, w ręku wybitnego pracownika pułk. Łojko; przyjemnie było nie tylko pracować z nim w misji, ale i bywać z nim razem na konferencjach w wojskowych urzędach francuskich — gdzie wyrobił sobie poważanie i uznanie.

Trudniej szło z wymaganą odemnie gwałtowną redukcją personelu i zwinięciem lokalnych placówek — oficerowie nie zbyt kwapili się do powrotu.

Wkrótce po przyjeździe, pojechałem z naszymi oficerami na manewry w Camp Mailly.

Trwały one 3 dni. Manewry rozpoczynały się 4<sup>1/2</sup> rano i trwały do 11 rano, od 3 do 6 odbywały się odczyty informacyjne i omawiano plany manewrów.

Były to pierwsze po wojnie manewry na wielką skalę.

Główne kierownictwo spoczywało w rękach generała Boriscu, byłego Szefa Sztabu marszałka Pétain w Verdun.

Jako widzowie brała udział cała ucząca się wojskowa młodzież Francji, która przybyła w ilości 2300 osób.

Manewry udały się nadzwyczajnie.

W czasie wykonania wydawanych przez generała Boriscu rozkazów generał podchodził do różnych grup widzów i zadawał lotne pytania, o celowości wydawanych zarządzeń.

W naszej—polskiej grupie—zapytano dla czego wbrew regulaminowi generał kazał przydzielić kampanię saperów do mniejszych jednostek bojowych i kazał 155 milimetrowe działa połączyć z bateriami 75 mm. Wywiązała się na ten temat rzeczowa pogawędka.

Pierwszy raz w życiu brałem udział w operacjach, zbliżonych do obecnych warunków bojowych—i wyznam szczerze, że potem com zobaczył, nigdy nie podjąłbym się samodzielnego dowództwa armją...

Zwiedziłem naszą bazę morską w Cherburgu, skąd szły nasze transporty i amunicja do Gdańska.

Byłem tylko parę dni i nic ciekawego w pamięci nie pozostało, chyba to, że miał przyjechać z Ameryki „znakomitość filmowa” p. Czaplin i o tym „doniosłym” wypadku było pełno w prasie i w naszym hotelu było sporo osób przybyłych specjalnie z tego powodu.

Żeby zaznaczyć kurtuazję wojskowych władz francuskich mogę wskazać, że arsenał i wejście do kasern w Cherburgu były udekorowane flagami na naszą cześć.

Po powrocie wziąłem udział w uroczystym bankiecie pożegnalnym na cześć kilkudziesięciu naszych oficerów, którzy po przebyciu dwumiesięcznego kursu wyszkolenia wracali do kraju. Bankiet odbył się w Cercle Militaire, wydawał go Szef Sztabu.

Rzecz charakterystyczna, że w sali bankietowej wisiał portret b. cesarza rosyjskiego Aleksandra III. Czy spodziewał się kiedy Car wielkiej Rosji, że kiedyś po śmierci pod jego portretem będą stały w licznym gronie oficerowie wolnej niepodległej Polski, którą on ścisnął żelaznymi obręczami, dusząc wszelki odruch wolności...



We wrześniu zaproszono mnie na obchód 7 lecia zwycięskiej bitwy nad Marną.

O 8 wyjechaliśmy specjalnym pociągiem do miasta Meau. Pociągiem tym jechali: marszałek Joffre, reprezentant rządu minister Bartoux, kilku biskupów, posłów, przedstawiciele wojskowi Państw zagranicznych i wyżsi wojskowi francuscy. Uroczystość miała charakter podniosły.

Odbyło się solenne nabożeństwo, ze zbyt długim—bo godzinę trwającym przemówieniem biskupa Strasburga.

Następnie był bankiet na 400 z górą osób, na którym był szereg mów. W jednej z nich maire miasta Meau, wyliczając w swej mowie sojuszników Francji, zapomniał o Polakach (wymieniając w szeregu innych i Czechów).

Siedziałem niedaleko od marszałka Joffra, między posłem z tego okręgu i biskupem (który potem przyjeżdżał do Polski [z delegacją francuskich biskupów z kardynałem Dubois na czele]).

Żartobliwie zwróciłem ich uwagę, że p. maire widocznie jest bardzo zdenerwowany, bo nie mogę dopuścić, że nie jest o tyle mocnym w historii—jeżeli wymieniając przyjaciół Francji—zapomniał o narodzie Polskim.

Sąsiad mój deputowany, był tem bardzo przejęty i przyrzekł mi, że podczas objazdu mogił poległych (na czterech cmentarzach) pierwszą swą mowę poświęci przyjaźni francusko-polskiej.

W czasie tej mowy stanętem blisko maira i po skończeniu głośno powiedziałem sąsiadowi, że mówca dobrze zna, kto są wierni przyjaciele Francji, widocznie p. mair to posłyszał, bo natychmiast podszedł do mnie i zaczął tłumaczyć się z mimowolnego za-

pomnienia i prosił bym pozostał do końca uroczystości, bo przy ostatnim etapie mógł wygłosi jeszcze jedno przemówienie, w którym postara się naprawić błąd poprzedni...

W czasie bankietu podziwiałem łatwość z jaką p. Bartoux wygłosił aż 4 przemówienia na różne temata. Jaka zwięzłość, logika, co za styl!..

W wagonie toczyła się rozmowa na temat przeżyć w sztabie marszałka przez te znamienne 11 dni trwania walki. Zapytałem marszałka jak on mógł wytrwać bez wypoczynku przy tak wielkim napięciu nerwów przez 11 — 12 dób, na to odpowiedział, że codzień od 11<sup>1/2</sup> wieczór do 5 rano zamykał się u siebie i nie przyjmował żadnych meldunków...

Była ładna jesień.

Prawie co wieczór odbywałem duże spacery — z hotelu (Continental) przez plac „Concorde” na Champs Élysée, aż do Arc de Triumfe. Nie mogłem nawet, na razie przyjmować zaproszeń na obiady — bo nie miałem jeszcze smokingu. Przy wyjeździe z Warszawy „na cywilne ubranie”, otrzymałem taką minimalną sumę, która wystarczyła na kupienie — jednego tandetnego garnituru, kapelusza i kilku drobiazgów...

Przechodząc przez plac widziałem oświecone okna w Hotel de Grillon; mieszkał tam Lloyd Dżordże i tam toczyła się między Lloyd Dżordżem i Briandem dyplomatyczna walka na temat ostatecznej decyzji co do Śląska. Francuzi i reszta cudzoziemców śledziła przebieg jej z zaciekawieniem, kolonja polska z trwogą i niepokojem.

Opowiadano na mieście, że jednego wieczoru dyskusja między premierami francuskim i angielskim doszła do takiego napięcia, że snujący się po kory-



tarzach liczni korespondenci, wyraźnie słyszeli głośne krzyki.

„Teza polska” powoli brała górę, pod wpływem przesunięcia się na naszą stronę Włoch i Ameryki.

Wiadomość o znacznem zwiększeniu sił zbrojnych Ententy, pozostających pod rozkazami przewodniczącego komisji sojuszniczej generała Lerond, wywarła na nas duże wrażenie.

Przez krótki czas naszego pobytu w Paryżu, nie miałem sposobności poznać osobiście p. Brianda, ale z wielką ciekawością słuchałem parę razy jego przemówień w parlamencie, szczególnie utkwiło mnie w pamięci posiedzenie w przeddzień jego wyjazdu do Waszyngtonu.

Treść zakończenia jego przemówienia była mniej więcej taka: „mam jechać do Waszyngtonu, mam już spakowane walizki, ale nie pojedę nim nie otrzymam od Was Panowie votum zaufania, i z góry oświadczam, nie byle jakiego, a znaczną większością głosów, bez tego nie odjadę — i odjechał po otrzymaniu votum zaufania z wymaganą poważną większością głosów...

Wspominając o tych kilku miesiącach spędzonych w Paryżu przypominam, że nieraz idąc wieczorem przez place Concorde, jak i przed wojną, zalany morzem światła i obecnie prawie stale zapełniony lecącemi autami — odczuwało się, że jesteś w stolicy świata, gdzie są skoncentrowane nerwy kultury nie tylko całej Francji, ale i znacznej części i ogólnie ludzkiej — że tu bije puls świata: w zakresie wiedzy, pracy, progressu, a obok tego również — używania i rozpusty...

W Paryżu znaczna większość, przyjezdnych czuje się u „siebie”.

Można urządzić swoje życie wedle każdego budżetu, ale przedewszystkiem trzeba mieć pieniądze, bo dla obcokrajowców znaleźć zarobek bardzo trudno.

Wypadki rewolucyjne w Rosji wyrzuciły na bruk Paryskie zastępy emigrantów z b. Rosji i ten proletarijat inteligencji, obecnie przeżywa ciężkie i trudne okresy—tak samo było ciężko i naszym emigrantom w 1830, 1864 latach...

Zakres mej pracy w Paryżu rozszerza się coraz bardziej; muszę tu zaznaczyć, że stosunki służbowe z urzędami francuskim, przez cały czas mego pobytu były jak najlepsze.

W II Oddziale Sztabu Generalnego byliśmy jak u siebie w domu, pułkownicy Fournier i Constantin, zawsze szli nam we wszystkim na rękę i to samo mogę powiedzieć o generale Seregni Szeffie Szkolnictwa Wojskowego.

Praca moja w Paryżu nie odbywała się jednak w warunkach normalnych. Miałem ciągle poczucie prowizorium, nie wiedziałem, jak długo zostanę na stanowisku.

W parę tygodni po przyjeździe, zawiadomiono mnie, że zastępca mój przyjedzie 15-go Września, potem oświadczono, że zjawi się 1-go Października, potem, że przyjedzie napewno w połowie Października — w rezultacie nie przyjechał wcale. Oczywiście praca planowa była w tych warunkach niezmierznie trudna.

Trudno było by wytłumaczyć miejscowym władzom dlaczego na takie stanowisko wyznaczono mnie na sześć tygodni i napewno większość z nich była by przekonana, że moje zwierzchnictwo uznało mnie za nieodpowiedniego.



Po moim wyjeździe z Paryża w Listopadzie na stanowisko Adjutanta Generalnego, stanowisko Szefa Misji Wojskowej zostało zwinięte, żaden mój następcą już się nad Sekwaną nie pojawił.

We Wrześniu przyjechała do Paryża żona. Bawiła przez miesiąc, złożyliśmy kilka urzędowych wizyt, zaczęto nas zapraszać, musieliśmy się również rewanżować, a moje warunki materialne w Paryżu nie były zbyt świetne. Otrzymywałem 100 franków dziennie, oprócz tego dwa tysiące franków miesięcznie na koszty reprezentacyjne. A po za wydatkami połączonymi z wyjazdem żony z kraju, w „Continental” tylko za dwa pokoje i utrzymanie pokojowej żony płaciłem 130 franków dziennie, pozatem wydatki na życie nasze codzienne i pewną reprezentację były b. wysokie.

Mimo tych drobnych kłopotów pobyt w Paryżu nazwać mogę miłym wspomnieniem.

Spotkałem wielu ciekawych ludzi, doznałem wielu wrażeń, o których nie chcę tu pisać.

Wspomnę tylko o tych chwilach zdenerwowania, które my polacy w Paryżu przeżywalismy z powodu sprawy Śląska, która dopiero w połowie Października została definitywnie zdecydowana, potem z powodu sprawy Jaworzyny (zatarg na tle terytorjalnym na granicy Czech). W niektórych konferencjach z władzami francuskimi, dotyczących się Jaworzyny brałem sam udział.

Byłem na przyjęciu u księżnej d'Uses, na którym był obecny najstarszy przedstawiciel dynastji Bonapartów, syn Rolanda Bonaparta — przyjaciół polaków, czytałem że on parę lat temu umarł.

W końcu Października minister zawiadomił mnie urzędowo, że zostałem mianowanym Generalnym Adjutantem Naczelnika Państwa.

Gdym w kilka dni przybył do ministerstwa spraw wojskowych, by się pożegnać, oficerowie zaczęli mnie prosić, bym im poświęcił jeden wieczór przed wyjazdem.

Okazało się, że wszystkie wieczory mam zajęte. Wtedy oficerowie francuscy, zajęci w ministerstwie, stante pede — tegoż wieczora — wydali improwizowany obiad pożegnalny, który do dziś wspominam bardzo mile.

Na zakończenie mych wspomnień o Paryżu muszę jeszcze kilka słów poświęcić gościnnemu domowi Władysławostwa Mickiewiczów, Poniedziałkowe herbatki, urządzone u nich gromadziły zawsze sporą liczbę rodaków, tworzących drobną wysepkę w ogromnem obcym morzu.

Już wchodząc do mieszkania miało się wrażenie, że się jest gdzieś w „starej Warszawie” czy na Litewskich kresach.

Dom, w którym od pół wieku mieszkali czcigodni gospodarze, mieści się na maleńkiej uliczce, na lewej stronie Sekwany, wąskie słabo oświetlone schody, prowadzą do małego mieszkanka, w którym niema nawet — elektryczności. Całość robi wrażenie muzeum narodowego, pełnego pamiątek historycznych.

Nie zważając na to, że emigracja Paryska obecnie już faktycznie nie istnieje, u nich zawsze było ludno i gwarno, treść rozmów była najczęściej rzeczowa i ciekawa, i widocznie przychodzili z przyjemnością.

Dom państwa Mickiewiczów, miał dla mnie jeszcze specjalny urok ze względu na mą małżonkę. Rodzice wychowywali ją bowiem w Paryżu w jednym z klasztorów (Couvent des Oiseaux), święta



czasami spędzała w domu potomka wieszczka. Odwiedzając dom ten po tylu latach, żona stwierdziła, że jest to ten sam szlachecki dworek litewski, przeniesiony z Wileńszczyzny nad Sekwanę, jak było za jej panieńskich czasów...

Na dworzec odprowadziła mnie liczna gromadka, składająca się z urzędników poselstwa, moich współpracowników, wojskowych wysłanych do szkół i moich osobistych przyjaciół.

Nowy okres służby i pracy rozpoczyna się w Warszawie nie wesoło.

Wróciłem w pierwszej połowie Listopada i do 12 Grudnia „wisiałem w powietrzu”, gdyż do 12-go grudnia nominacja moja na Generalnego Adjutanta Naczelnika Państwa nie była podpisana.

W „powietrznym” okresie otrzymywałem jedynie funkcje czysto reprezentacyjne — zastępować Pana Ministra na różnych uroczystościach, przeważnie wojskowych, oraz w komitecie pomocy dla rezerwistów i inwalidów.

W tym okresie obchodziły mnie dużo sprawy połączone z moim pobytem w Paryżu, nasz traktat handlowy i Jaworzyna: sprawa traktatu handlowego z Francją, — ale to przewlekło się jeszcze dość długo.

Tak samo długo trwały jeszcze dalej pertraktacje w sprawach Jaworzyny.

Przed odjazdem z Paryża ułożyłem projekt organizacji gabinetu wojskowego przy Naczelniku Państwa.

Treść wysłanej do mnie do Paryża depeszy ministra była taka, że nie tylko ja, ale i nasze poselstwo było przekonane, że już zostałem mianowanym Generalnym Adjutantem.

Ponieważ funkcje, które miałem objąć, były dla mnie terra incognita, poświęciłem ostatnie dni pobytu w Paryżu przygotowaniu się do jej pełnienia i korzystając z tego, że w uczelniach wojskowych w Paryżu było dwóch byłych adjutantów Naczelnika Państwa, wspólnie z nimi opracowałem projekt organizacji, wzorując się na istniejącej ustawie we Francji, szło mi również o podział zakresu kompetencji gabinetów wojskowego i cywilnego.

Po za tem zwróciłem się do ówczesnego Szefa gabinetu wojskowego przy Prezydencie, generała Lassona, z którym wspólnie omawiałem sprawę przyszłych obowiązków i prac. Niestety praca ta okazała się w Polsce niepotrzebną, opracowany projekt pozostał u mnie w biurku...

Nastroj w stolicy był podniecony, sprawa przyłączenia do obwodu województwa wileńskiego dwóch powiatów zaogniła się. Atmosfera sejmowa była duszna, szeptano w kuluarach, że Naczelnik Państwa poda się do dymisji.

Sytuacja gospodarcza pogarszała się z miesiąca na miesiąc...

Z wzruszeniem i napięciem nerwów wjeżdżałem do Belwederu, już jako Generalny Adjutant.

Przez kilka lat pobytu w Polsce wielokrotnie bywałem w tych murach, ale zawsze na kilka chwil, urzędowo—asystując posłom zagranicznym, albo służbowo na uroczystościach i na paru meldunkach i posiedzeniach.

Mam teraz spędzać całe dni w tych znanych każdemu polakowi murach.

Belweder zewnętrznie nie wygląda imponująco, ostatni nasz król estetyk, który pozostawił po sobie tyle śladów w dziedzinie sztuki i arcyzmu w budyn-



kach Łazienkowskich i zbiorach artystycznych — nie pozostawił tu swojego wybitnego śladu; o ile wiem to były mury budowane dla fabryki porcelany.

Ale od chwili zamieszkania w tych murach przez tego despotę — prawdopodobnie nie zupełnie normalnego — starszego syna cesarza Pawła, z tymi murami w Polsce złączono tyle przeżyć i wypadków — i to trwa stale.

Zbiegiem okoliczności przez 13 miesięcy miałem swój gabinet biurowy w znanym „zielonym” pokoju, który ongiś, był sypialnią żony Konstantego — księżny Łowickiej.

W historyczną noc listopadową w 1830 r. Wielki książę chował się w tym pokoju, od szukających go podchorążych.

Do dziś dnia pozostały byle obicia ścian — z zielonkawego jedwabiu i zachował się portret księżny, której los i w złoconej klatce nie był wesół.

Nie znam dokładnie historii jej życia.

Kiedy młodym chłopcem w kościele w Carskim Siole odczytywałem tablicę głoszącą, że tu pogrzebana księżna Łowicka, fantazja młodzieńcza robiła różne przypuszczenia: czy to był pewny sentyment, czy tylko bierność i brak woli wywołały zgodę na małżeństwo, które wydaje się takim anormalnem i do którego przymuszała Ją rodzina — może tylko przez próżność i chciwość?!...

W suterrenach Belwederu i obecnie są ślady kaplicy, gdzie ta zagadkowa i prawdopodobnie w gruncie mało szczęśliwa kobieta u stóp ołtarza szukała ulgi i sił...

Okna tego pokoju wychodzą na park Łazienkowski i widać rozrosłe drzewo, pod którym na ławce kamiennej, przesiadywał wielki książę — słucha-

jąc słowików. I jak ten jego nieco nawet sentymentalny rys, był w sprzeczności z całokształtem jego czynów w Polsce...

W okresie mojego urzędowania wewnętrzne urządzenie domu było przygodne, bez wytrzymania stylu nawet w meblach i ozdobach, nie mówiąc już o zaopatrzeniu gospodarczem, którego można powiedzieć, że na razie nie było wcale. Nie posiadało nie tylko chociażby najskromniejszego serwisu srebra, ale nawet i platerów przyzwoitych. Kiedy było zadecydowane urządzić „herbatkę” na 25—30 osób, to zabrakło filiżanek i pożyczano — od pp. oficerów.

Sala reprezentacyjna była jedna, obszerniejszy nieco pokój stołowy, pozatem na parterze był rząd pokoi mniejszych, zajętych przez biura. Naczelnik Państwa—sam bez rodziny—zamieszkiwał na górze, w niewielkiem mieszkaniu składającym się z czterech pokoi.

Ale prawdziwem upiększeniem domu był stary park Łazienkowski...

Pierwsze dnię zajęły formalności — objęcie stanowiska, zaznajomienie się ze sprawami i nowym personelem, składanie urzędowych wizyt.

24 grudnia dla całego otoczenia Naczelnika Państwa odbyła się wigilja w Belwederze, poczem Naczelnik Państwa objechał garnizony i szpitale wojskowe, dzieląc się wszędzie opłatkiem z żołnierzami: trwało to do późnego wieczora, objechaliśmy całą Warszawę od końca Pragi do Lotniska.

Marszruta była zgóry ułożona, wszędzie czekali na nas z choinkami, wygłaszano mowy, deklamowano, zasiadaliśmy chwilę do stołów — wszystko miało charakter bardzo miły.

Zdarzyło się tylko małe nieporozumienie na



Lotnisku, gdzie przez pomyłkę zatrzymaliśmy się nie przed Kasynem oficerskim, w którym czekali zebrani oficerowie, a przed koszarami jednej z kompanji; gawęda z żołnierzami, spożywającymi wigilję i nieprzygotowanymi na odwiedziny Naczelnika, zajęła tyle czasu, że nie zajęchaliśmy już do kasyna oficerskiego.

26 Grudnia Naczelnik Państwa wyjechał po raz pierwszy do Poznania.

Nie bacząc na polecenie, by w drodze—w ciągu nocy — wstrzymać się od ceremonji powitalnych, na jednej ze stacji zaczęła grać wojskowa orkiestra.

Dwudniowy pobyt w Poznaniu odznaczał się niezwykłą ruchliwością.

Na stacji odbyło się uroczyste powitanie ze strony władz wojskowych i cywilnych.

Odjechaliśmy na zamek, w którym Naczelnik Państwa zamieszkał; zajmowałem pokój tuż obok jego apartamentów. Podobno w pokoju tym zwykle miała mieszkać przed wojną Cesarzowa Augusta.

Zamek o którym już pisałem wyżej, zrobił na mnie jak i podczas pierwszego pobytu w Poznaniu, niemiłe wrażenie pretensjonalnego domu ambitnego satrapy.

Przyjechaliśmy o 9-ej. O 10-ej odbyło się w katedrze nabożeństwo, celebrowane przez prymasa kardynała Dalbora.

Po nabożeństwie Naczelnik Państwa udekorował krzyżami *Virtuti Militari* i Krzyżem Walecznych szereg wojskowych, tak i byłych powstańców.

Krzyżami *Virtuti Militari* Naczelnik Państwa dekorował osobiście, a Krzyżami Walecznych częściowo także generał Raszewski i ja.

Przez cały czas pobytu zwracała uwagę dyscyplina tłumu, wzorowy porządek i ład panujące wszędzie.

Następnie odbyła się wojskowa rewja, — wypadła doskonale, był mroźny, ale ładny słoneczny dzień.

Po rewji odbyło się wojskowe śniadanie na 70 osób.

Po śniadaniu składałem oficjalne wizyty.

O 4-ej Naczelnik Państwa przybył do ratusza, wygłoszono szereg przemówień, śpiewały chóry, był tłum ludzi, ale wielkiego zapału brakowało.

Następnie byliśmy króciutko w operze, dawano „Halkę”. Naczelnik Państwa zauważył żartobliwie, że z galowych przedstawień, każdą arję „Halki” zna już na pamięć. Zrozumiałem doskonale tę uwagę. Tyle razy bowiem, w ciągu roku, byłem, z urzędu, na balecie „Pan Twardowski”, że w ostatecznym razie mógł bym — tak mi się wydaje — zastąpić utalentowanego p. Zejdlicha, grającego mimiczną rolę Twardowskiego...

Następnie odbył się urzędowy obiad, nie powiem by był on zbyt ożywiony. To samo powiedziałbym o raucie, który się odbył po obiedzie i na który przybyły i Panie. Osób było bardzo wiele, ale czuło się, że całość „nie klei się”.

Nie znaczy to, by w czemkolwiek uchybiano obowiązującym formom.

Następny dzień od wczesnego ranka do wieczora upłynął poza Poznaniem.

Rano wyjechaliśmy samochodami do Racoty — przytulnego pałacyku, należącego dawniej do dworu niemieckiego, położego w okolicy, bardzo nadającej się na polowania. Przyjęto nas śniadaniem, w którym wzięło udział grono obywateli ziemskich. Gos-



podarzem był p. Chłapowski, obecny nasz ambasador we Francji.

Następnie odwiedziliśmy Leszno, Radzyn, wszędzie przyjmowano nas uroczyście, parę razy zatrzymywaliśmy się po drodze celem wysłuchania przywitań.

Nie wszyscy radzili sobie z językiem polskim, n. p. w Radzynie miejscowy proboszcz wygłosił przemówienie, któremu pod względem językowym niejedno można by zarzucić.

Ale ogólne wrażenie było bardzo dodatnie, wszędzie spotykaliśmy się z objawem kultury, lojalności i poszanowania władzy.

Przygnębiające wrażenie zrobił tylko były patac rodziny ks. Sułkowskich (obecnie tam się mieścić ma korpus kadetów przeniesiony z Modlina), gdzie ostatnia spadkobierczyni wdowa — z pochodzenia nie polka, — której pozostawione to zostało w dożywocie, wyprzedala literalnie wszystko, co się dało, nawet framugi od okien, posadzki, piece, wyglądało to na ruderę.

29 grudnia rano wróciliśmy do Warszawy. Wieczorem udałem się na dworzec, by w imieniu Naczelnika Państwa, pożegnać generała Nissela, który opuszczał Polskę na stałe. (Zastępcą jego w charakterze Szefa francuskiej misji wojskowej został generał Dupont).

Następnego dnia odbył się ślub córki Duńskiego posła z polakiem (p. Dębskim). Naczelnik Państwa był nie tylko w kościele, ale i na przyjęciu w Poselstwie.

Chcę tu jeszcze wspomnieć o pewnej bardzo dla mnie miłej uroczystości.

15 Grudniu otrzymałem od Generała Nissela

list, w którym generał zawiadamia: „Chèr Camrade”— że jutro wręczy mi order oficerskiego krzyża Legji Honorowej (w kilka miesięcy potem generał Dupont znów dekorował mnie Komandorskim Krzyżem Legji Honorowej).

Uroczystość, która odbyła się nazajutrz pozostawiła mi bardzo piękne wspomnienie.

Od lat dziecinnych rośłem w kulcie dla epopeji Napoleońskiej i naszych bohaterów polaków w armji Napoleona, to też marzeniem mojem było zawsze noszenie na piersi tego krzyża, który dla nas polaków, jest tak cenny.

Na zakończenie zanotuję jeszcze pewien wypadek, który w komiczny sposób charakteryzuje nastroje praworządności. Otóż w przeddzień wigilji jeden z wysoko postawionych obrońców prawa pojechał z córką i służącym do parku Skaryszewskiego i „w biały dzień” wyrąbał sobie młode drzewko (i w dodatku okazowy egzemplarz) i najspokojniej zawiózł je do domu. „Choinka” jednak skończyła się dla niego smutno — bo po 24 godzinach otrzymał dymisję...

Rok pełen najrozmaitszych przeżyć — minął...



## VII

Rok 1922.

### Służba w Belwederze. Kryzys ministerjalny.

Przywitanie Nowego Roku odbyło się bardzo sympatycznie w ścisłym gronie swoich i przyjaciół; dla nas miało ono ten szczególny urok, że po 6 latach pierwszy raz wieczór noworoczny spędzaliśmy z naszym jedynakiem.

Zrana było przyjęcie już na Zamku — uroczystość ta była tem donioślejsza, że odbywała się w tych murach po 140 kilkoletniej przerwie.

Rozpocząłem „normalną” służbę — cały dzień byłem w ruchu, od wczesnego rana w biurze, albo na mieście w celach reprezentacyjnych; często zostawałem w Belwederze i na obiedzie, bo większość oficerów — nie żonatych — stołowała się w Kasy nie oficerskiem, mieszczącem się wówczas w Belwederze.

Rodzina Naczelnika Państwa mieszkała w prywatnem mieszkaniu na mieście i Naczelnik Państwa, o ile był wolny, również od czasu do czasu, przychodził na te obiady.

Wikt był bardzo skromny — obiady trwały krótko, rozmowy obracały się przeważnie dookoła ostatnich przeżyć wojennych.

Muszę się przyznać, że czułem się po części obcym, wśród tego grona złączonego wspólnymi przeżyciami i wspomnieniami.

Wieczorami również bardzo często pełniłem funkcje reprezentacyjne, asystując Naczelnikowi Państwa, lub zastępując go.

Z p. Carem, byłem Szefem Kancelarii Cywilnej, od pierwszego do ostatniego dnia, pozostaliśmy w najlepszych nie tylko służbowych ale i koleżeńskich stosunkach i chociaż nasi pomocnicy, czasami, ze zbyt wielkiej gorliwości na temat swoich „resortów”, wszczynali służbowe „zasadnicze” sprzeczki, p. Car pomagał mi zawsze w usunięciu zgrzytów między obydwoma kancelaryami.

Miałem pod swoim zwierzchnictwem po za adjutanturą i kancelarią — szwadron, kompanię piechoty i wydział sztabowy.

W Styczniu odbyły się bardzo dla nas pomyślne wybory na Wileńszczyźnie. W tym samym okresie zaszło nieporozumienie co do osoby naszego drugiego delegata w Genewie, w tym sensie, że Naczelnik Państwa miał szereg zastrzeżeń co do desygnowanego przez ówczesnego premiera delegata p. Szebeki.

Gdym już miał wrażenie, że wchodzę w tryb nowego dla mnie, pod bardzo wielu względami życia, spadło na mnie coś w rodzaju piorunu z jasnego nieba.

Jakkolwiek niechętnie zatrzymuję uwagę czytelnika na swej osobie, muszę zatrzymać się nieco dłużej — na swoich perypetjach służbowych.



Mianowanie moje z dnia 12 grudnia zostało ogłoszone dopiero w połowie Stycznia 1922 r. W początku zaś Lutego pojawia się rozkaz — o mojej dymisji, co prawda z dniem 1 Czerwca i z rangą Generała Dywizji...

Dowiaduję się o tym rozkazie nie bezpośrednio a od znajomych: telefonują mi z domu, że było już kilka zapytań telefonicznych, co znaczy ogłoszony rozkaz o mojej dymisji.

Przyznaję, że czułem się tem bardzo przykro dotkniętym, ale i w tym wypadku, jak i zawsze w okresie całej służby czynnej — przyjąłem to do wiadomości i czekam dalszych zarządzeń.

Z prywatnych informacji dowiaduję się, że moi bezpośredni zwierzchnicy do tego osobiście nie przy czynili się.

I po kilku dniach otrzymuję urzędowe zawiadomienie, że od 1 Czerwca zostaję nadal powołanym z dymisji do służby czynnej.

Zastanawiając się nad tą sprawą przyszedłem do przekonania, że sprawa miała następujący przebieg:

Kiedy po pierwszej weryfikacji w 1920 r. na której jak już pisałem, zostałem tak wyjątkowo „odmłodzonym” układano listy tych, którzy przekroczą wiek prekluzyjny wyznaczony dla każdej z rang, okazało się, że ja, jako Generał Brygady, podlegam zwolnieniu w 1922 r. — bo kończę 57 lat (a o ile byłbym weryfikowanym na Generała Dywizji to tylko w 1926 r.).

Przypomniałem sobie, że jeszcze wiosną 1921 r. był u mnie pułkownik Frehlich, który uprzedził mnie że jestem na liście podlegających zwolnieniu w początku 1922 r. i radził mi prosić o „venia aetatis” — to jest o prawie pozostania na służbie czynnej po za wiekiem prekluzyjnym, na podstawie świadectwa lekarskiego, że jestem jeszcze zdolny do pracy.

W przekonaniu, że nie weryfikowano mnie tylko przez pomyłkę i że to nastąpi normalnie już w najkrótszym czasie; z drugiej strony uważając za niedopuszczalne „dobijać się” o prawo pracy za pomocą świadectwa lekarskiego — żadnego podania nie złożyłem. Później zaś byłem tak pochłonięty sprawami służby i tyle miałem dowodów, że praca moja uważa się za pożyteczną i potrzebną — czego dowodem służyć może chociażby i to, że bez żadnych zabiegów z mojej strony zostałem wyznaczonym na tak odpowiedzialne stanowiska, że o tem wszysikiem — zapomniałem.

Żeby ostatecznie skończyć ze sprawami „prodomosua” muszę jeszcze dodać, że również nie transferetowe było i definitywne zakończenie mojej służby czynnej.

Z początkiem 1923 r. powołany zostałem na stanowisko Przewodniczącego Oficerskiego Trybunału Orzekającego, a następnie dodatkowo naznaczono mnie Prezesem Komisji dla opracowania Statutu i Kodeksu Honorowego.

3 czerwca 1924 r. otrzymuję list od ówczesnego ministra wojennego generała Sikorskiego, z którego ze zdumieniem dowiaduję się, że 1 czerwca na moje stanowisko został mianowany inny generał, a ja jestem już na urlopie, a następnie w dymisji...

Jednocześnie list ten zawierał bardzo dużo wyjątkowo zaszczytnej i pochlebnej dla mnie oceny mojej pracy w wojsku i głosił, że będzie ogłoszony specjalny rozkaz pożegnalny, co rzeczywiście i miało miejsce — ale nie w Listopadzie 1924 r., kiedy definitywnie zostałem zwolnionym — a z górą w rok potem: w drugiej połowie Listopada 1925 r. Dodam do tego, że ostatecznie (weryfikacja moja nie została skorygo-



waną, a zależnie od tego wypadł i odpowiednio mniejszy rozmiar emerytury)...

Szóstego lutego przyszła wiadomość, że na konklawe, który został zwołanym po śmierci papieża Benedykta XIV, papieżem został obrany kardynał Ratti — wywarło to bardzo wielkie i przyjemne wrażenie w całym kraju — pierwszy raz na tronie papieskim został dostojnik nie tylko znający nasz kraj, ale mający dla nas szczerą serdeczną sympatię i życzliwość.

Dla mnie osobiście było wysoce zaszczytnem i przyjemnem, że kiedy wkrótce nowy papież Pius XI, przysłał do Polski, przez ks. prałata Brzezińskiego, kilka pamiątkowych medali — ja byłem jednym z tych, których spotkał zaszczyt otrzymania tych medali.

Przy przyjęciu pierwszej delegacji polskiej Ojciec Święty rozmawiając z delegacją wspomniał i o mnie i polecił mnie powiedzieć, że życzyłby sobie widzieć mnie w Rzymie, co nastąpiło dopiero w r. 1923.

Słyszałem opowiadanie od tych którzy w czasie konklawe byli w murach Watykanu, że kiedy po szeregu głosowań, został obrany kardynał Ratti — wśród zebranych rozległy się głosy: „mamy Papieża-Polaka“.

W końcu stycznia Naczelnik Państwa wyjechał do Spały. Byłem tam urzędowo przez kilka dni. Rezydencję byłych carów poznałem wtedy po raz pierwszy. Może w niej miło latem i wiosną, ale w czasie mroźnego, śnieżnego stycznia było nieprzytulnie i obco.

Od czasu do czasu, choć w tym okresie rzadko, zaglądałem do któregoś z klubów. Pamiętam pewnego wieczoru, ktoś opowiadał w mojej obecności, że ministerstwo robót publicznych robi formalne trudności w sprawach otwierania nowych fabryk chemicznych, ponieważ według obowiązującego jeszcze kodeksu rosyjskiego, nie wolno budo-

wać fabryk chemicznych: „ani w gubernji Ekaterinosławskiej, ani w Priwislinskim kraju”.

Karnawał skończył się 28 Lutego i nigdy w życiu nie brałem udziału w takiej masie zabaw, jak w tym roku, gdym na zabawach pełnił urzędowe funkcje.

Drugiego marca przyjechała do Warszawy delegacja od nowo obranego autonomicznego sejmu wileńskiego, w sprawie uroczystego podpisania aktu Unji z Polską. Delegacja składała się z 20 członków (z ogólnej liczby 76 członków Wileńskiego Sejmu); o 9-ej godzinie wieczorem miał odbyć się uroczysty akt podpisu „unji”. Kiedy przyjechałem do Prezydjum Ministrów, zebrana liczna publiczność czekała chwili wejścia do sali ministrów razem z delegatami i przystąpienia do podpisania przygotowanego tekstu unji — na pergaminie z ładnymi rycinami, na wzór aktów średniowiecznych.

Czekaliśmy — do 4 $\frac{1}{2}$  rano, przynajmniej ja wyjechałem przed 5-tą.

Gabinet radził z delegatami przez całą noc.

Chodziło o to, że z 20 delegatów zgadzało się podpisać umowę tylko 10, reszta — pod naciskiem prawicowych posłów Sejmu — czyniła różne obiekcje.

W przeciągu nocy odbyło się zdaje się że 13 wspólnych narad delegatów z ministrami i ostatecznie akt tego dnia nie został podpisanym.

Wróciłem do domu moralnie mocno przygnębionym.

Za kulisami całej sprawy, w której brałem udział tylko jako widz, była chęć obalenia rządu. Ci, którzy do tego dążyli, dopięli swego: gabinet upadł, na premiera został powołany p. Ponikowski.

W tym samym czasie rozpoczęła się konferencja międzynarodowa w Genui, na której pierwszy



raz urzędowo wystąpił reprezentant „Sowietów” Czyzzerin i rząd niemiecki. Cały przebieg tej dość długotrwałej i nie zbyt owocnej w skutki próby był raczej smutny.

Co prawda niemiecki rząd przy tej sposobności upiekl pieczeń w formie traktatu (w Rapallo) z Sowietami, a co do innych Państw to zręczny Czyzzerin ciągle emablował je przyszłemi koncesjami w byłej Rosji.

Członkowie byłej Ententy wydzielali sobie prawa na najróżniejsze monopole: „naftowy”, „leśny” i inne, dzieląc skórę na niedźwiedziu — niezabitym; pozatem Czyzzerin i delegaci niemieccy zręcznie szczuli jednych przeciw drugim. Jednolitość była tylko ze strony Francji i Belgji, nawet i nasze przedstawicielstwo ministerstwa spraw zagranicznych, o ile słyszałem, nie miało zdecydowanej linii postępowania.

Niesamowite wrażenie wywarł gest arcybiskupa Genueskiego, który na galowem śniadaniu na włoskim okręcie, pił zdrowie — Czyzzerina... Daty nie pamiętam, ale to było blisko rocznicy zamordowania w Moskwie księdza K. Budkiewicza.

Widocznie perspektywa przyszłej unji religijnej w b. Rosji zaciężyła nad tym znamiennym i charakterystycznym toastem.

Ale ile, ile razy „prawosławny wschód” — zaczynając od XVI wieku grał na tej strunie — i zawsze oszukiwał Rzym...

Było zdecydowane, że Naczelnik Państwa spędzi Wielkanoc z żoną i dziećmi w Wilnie — przyjechalśmy tam w wielką Sobotę; małżonka Naczelnika Państwa i dzieci wsiadły do pociągu w drodze — w Sulejówku. W Wilnie przy przejeździe z banhofu i przy odjeździe, Naczelnik Państwa jechał ze mną — rodzina osobno.

Do Wtorku nie było urzędowych uroczystości — Naczelnik Państwa spędzał czas w gronie swojej dość licznej rodziny, stale mieszkającej w Wilnie.

Zamieszkaliśmy w domu byłych generał gubernatorów.

W Sobotę wieczorem byłem w Katedrze na rezurekcji, a w Niedzielę na sumie.

W Poniedziałek w południe byłem z Naczelnikiem Państwa w Kole Polek na święconem dla zdemobilizowanej młodzieży.

Po śniadaniu odwiedziłem chorych w wojskowym szpitalu i z ramienia Naczelnika Państwa, każdy z nich otrzymał małe prezenty i upominki świąteczne.

Od Wtorku rano rozpoczął się cykl uroczystości — ranny pociąg z Warszawy przywiózł Prymasa Kardynała Dalbora i członków rządu — pociąg spóźnił się o 2 godziny z powodu pożaru na stacji Czere-mcha.

Naczelnik Państwa oczekiwał na przyjazd rządu przed Ostrą Bramą.

Uroczystość rozpoczęła się od wręczenie mu kluczy — definitywnie już naszego polskiego Wilna. Następnie odbyło się solenne nabożeństwo w Ostrej Bramie, skąd Naczelnik Państwa odjechał z Kardynałem Dalborem, w następnym powozie jechałem ja z delegatem rządu p. Sołtanem.

Opowiadano, że część tłumu była pewna, że Naczelnik Państwa jedzie z małżonką — pomyłkę tę przypisać należy czerwonej mantji i okragłemu niskiemu kapeluszu otoczonemu grubym jedwabnym sznurkiem...

Potem odbyło się uroczyste oddanie władzy przez czasowy zarząd, rządowi Rzeczypospoltej:



przemawiał generał Mokszycki, w imieniu byłego zarządu, odpowiedział Naczelnik Państwa; po tej dość długiej uroczystości całe zebranie przeszło pieszo do Katedry, gdzie odśpiewano „Te Deum laudamus”.

Po tych uroczystościach odbyło się w Wilejce poświęcenie sztandaru w 35 pułku i następnie śniadanie w kasynie oficerskiem.

Wieczorem odbył się galowy spektakl, a następnie raut wydany przez miasto.

We Środę o 9-ej rano była polowa msza, poświęcenie sztandaru, rewja wojskowa i śniadanie w kasynie oficerskiem.

W czasie rewji Naczelnik Państwa i członkowie rządu stali na małym podwyższeniu, które w czasie rewji częściowo zapadło i kilku z ministrów okazało się na ziemi — więc byłem naocznym świadkiem „upadku gabinetu”.

Wieczorem Naczelnik Państwa wydał raut, na który zebrali się tłumy.

We Czwartek od rana do 2-ej trwało przyjęcie deputacyj przedstawicieli miasta i obywatelstwa; od 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> do 4 śniadanie u Prezydenta Ministrów, po 4-ej otwarcie „żłobka”, założonego przez amerykańców, o 5-ej akademja w Uniwersytecie, która trwała do 7-ej. Po ukończeniu akademji studenci wynieśli Naczelnika Państwa na rękach.

Od 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> do 9<sup>1</sup>/<sub>2</sub> obiad urządzony przez miasto, na którym popłynął potok mów, Werwą i treścią wyróżniła się mowa Naczelnika Państwa, który rozpoczął mowę „jako syn Wilna” i w której był zwrot polityczny; „ręka wyciągnięta” do Litwy Kowieńskiej.

O 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> rozpoczął się bal ułanów 4 pułku, a o północy w celach służbowych wyjechałem na

jedną dobę do Warszawy, z pociągiem którym odjeżdżali członkowie rządu.

Po powrocie do Wilna spędziłem tam jeszcze kilka dni, dnie te były spokojniejsze, ale jeden z nich poświęcony był szczegółowemu oglądaniu uniwersytetu, którego laboratorja, biblioteka i aule rozrzucone w 4 dzielnicach. Trwało to około 7 godzin bez przerwy; pierwszy raz w życiu byłem w prosektorjum i widziałem zaformalinowane trupy, jako materiały dla praktycznych studjów studentów — wrażenie [niemile i nie wiem czy wytrzymałbym na dłuższą metę, o ile bym kształcił się w zakresie medycyny.

Po tych oględzinach odbył się u Naczelnika Państwa obiad dla całego grona profesorów i asystentów.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w dzień naszego wyjazdu z Wilna mogłem być na ślubie córki mego kolegi szkolnego i serdecznego przyjaciela p. Stan. Wańkowicza.

Jestem poniekąd sam „synem Wilna”, ale muszę się przyznać, że ogólne wrażenie jakie wyniosłem w czasie tej pojadki, nie było zadawalniające, co prawda będąc służbowo zajęty przez całe dnie nie miałem dużo czasu do ściślejszych obserwacji, ale rzucało się w oczy i — „uszy” — poważny wpływ naleciałości rosyjskiej i to że miejscowa ludność izraelska częściej posługuje się językiem rosyjskim — co jest charakterystyczne; pozatem przy wszystkich uroczystościach na ulicach nie było tak tłumnie, jak by być mogło i być powinno, a ludność izraelska prawie się nie pokazywała.

Ale co jeszcze smutniejsze — dawał się wyczuć rozdźwięk wśród ludności i duchowieństwa katolickiego.



Ówczesny biskup wileński (Matulewicz) był znany jako fanatyczny litwomani; słyszałem z ust jednego z księży wileńskich takie zdanie: ongiś — przed wojną — biskup katolicki w Wilnie, nie mógł piechotą przejść nawet i przez ulicę, a musiał jechać powozem, bo lud Boży całował mu ręce, a nawet stopy, a dziś znów nie może iść piechotą — w obawie przed obrazą czynną, bo lud katolicki uważa go za agenta bolszewickiego i litewskiego...

Naczelnik Państwa wrócił do Warszawy we środę po przewodniej niedzieli, żona i dzieci wysiadły w Sulejówku. Rozpoczęło się znów normalne życie.

Wkrótce z trzech źródeł dowiedziałem się o mojej nowej nominacji, powiedziano mi że mam być mianowany stałym delegatem naszego rządu do Ligi Narodów, jako członek wojskowej komisji rozbrojeniowej.

Najpierw zakomunikował mnie o tem Szef Sztabu generał Sikorski, dodając że byłem jego osobistym kandydatem, wkrótce powtórzył to — i w bardzo pochlebnej dla mnie formie — minister wojny generał Sosnkowski, również dodając, że jestem jego osobistym kandydatem, a następnie i Naczelnik Państwa, również oświadczył że obrał mnie na to stanowisko, z kilku proponowanych mu kandydatów.

Na to zameldowałem Naczelnikowi Państwa, że o ile mi wiadomo nominacja ta mogła by nastąpić tylko za zgodą Ligi, bo dotychczas w sprawach rozbrojeniowych mamy tylko jedno miejsce z ramienia Ligi, które zajmuje ks. Sapieha (a następnie jakiś czas był ks. Z. Lubomirski), a narazie byłbym tylko wojskowym referentem przy naszym przed-

stawicielu, bez prawa brania udziału w posiedzeniach.

Naczelnik Państwa zasięgnął opinii p. Askenazego, który stwierdził że mam rację.

Nominacja moja na te stanowisko nie doszła więc do skutku — ani wtedy, ani potem, bo kiedy w 1923 r. Polska otrzymała miejsce dla etatowego wojskowego członka, na to stanowisko przez ministra wojny generała Sikorskiego został mianowany były minister generał Sosnkowski, z pozostawieniem go jednocześnie i Dowódcą Korpusu w Poznaniu.

Pracowałem w dalszym ciągu w Belwederze, ciągle pod wrażeniem, że jestem na tem stanowisku tylko prowizorycznie.

Nadeszła wiosna, z okien mojego gabinetu miałem ładny widok na pokryty świeżą zielenią park, widać pod rozłożystą lipą murowaną ławkę, na której jak wspominałem, w wiosenne noce godzinami przesiadywał Wielki Książę Konstanty, słuchając śpiewu słowików.

Wiosną 1922 r., ławka ta pozostawała pustą.

Co do mnie nie miałem ani czasu ani usposobienia na słuchanie słowików, bo wewnątrz tych ścian od rana do późnej nocy szła nietylko napięta praca, ale i wyczuwało się wielkie napięcie nerwów, w którym nie było miejsca — dla poezji...

W końcu maja Naczelnik Państwa miał jechać z wizytą do króla Rumuńskiego, uprzedzono mnie, że ja nie pojadę do Bukaresztu, gdyż ma jechać generał Frankowski. Ostatecznie z powodów wewnętrzno-politycznych, podróż doszła do skutku dopiero we wrześniu i Naczelnikowi Państwa towarzyszył generał Suszyński; opowiadano mi później, że on miał



w Bukareszcie sporo kłopotów ze swoją francuszczyzną...

W maju jeździłem z Naczelnikiem Państwa do Biedruska na uroczystości wojskowe, bez zatrzymania się w Poznaniu.

W końcu maja, po raz pierwszy, wręczył listy uwierzytelniające poseł niemiecki—przed tem był tylko chargé d'affaire — poseł przemówił do Naczelnika Państwa po niemiecku, a Naczelnik Państwa odpowiedział mu po polsku.

W Warszawie ogólne zdenerwowanie zwiększało się ustawicznie.

Ministerstwo Ponikowskiego przeżywało ciężki okres, opozycja prawicowa dawała się wszędzie we znaki.

Głosowanie w sprawie monopolu dało wyniki: 183 głosy na projekt rządowy, 183 przeciw, partja Witosa licząca około 90 głosów — głosowała przeciw; po kilku dniach odbyło się powtórne głosowanie i mimo, że rząd otrzymał większość około 20 głosów, widocznem było, że dnie gabinetu są policzone, tembardziej, że jednocześnie były poważne tarcia między Naczelnikiem Państwa i niektórymi ministrami, przeważnie z ministrem spraw zagranicznych p. Skirmuntem na tle naszej polityki na konferencji genewskiej i z ministrem skarbu p. Michałskim, na tle kredytów dla ministerstwa wojny.

6 czerwca po odbytej w Belwederze bardzo krótkotrwałej ale burzliwej Radzie Ministrów — trwała tylko pół godziny — gabinet podał się do dymisji.

Ustąpienie tego gabinetu, według mnie, przyniosło Państwu bardzo doniosłe w skutki straty ekonomiczne, bo właśnie wtedy rozpoczął się okres

ustalania się naszej waluty i miało się wrażenie że już są podstawy — tak niezbędnego dla naszego ekonomicznego rozkwitu — zaufania i kredytu w zagranicznym kapitale.

Rozpoczął się bardzo zaostrzony nerwowy okres wewnętrznych walk partyjnych, który trwał aż do nowych wyborów do Sejmu.

Kryzys gabinetowy trwał do końca lipca i przechodził najróżniejsze stadia,

Do 25 czerwca szły partyjne przetargi, w Belwederze zjawiali się kolejno członkowie prezydów poszczególnych grup politycznych. W oczekiwaniu kolejki czasami przesiadywali w moim gabinecie, spędzając czas na pogawędce „o niczem”.

25-go czerwca urodził się gabinet z premierem Sliwińskim, viceprezesem Rady Miejskiej, któremu przy pierwszym pojawieniu się w Sejmie, 7 lipca, Sejm wyniósł votum nieufności (większością 6 głosów i 3-ch wstrzymało się od głosowania).

Prawica Sejmowa opierając się na zasadach konstytucyjnych, chce oddać premierostwo Korfante-mu, który 19 lipca przedkłada Naczelnikowi Państwa listę nowego gabinetu, do którego znów mają wejść pp. Michalski i Skirmunt.

Naczelnik Państwa listy tej nie zatwierdza, kwestjonując cały szereg zasadniczych wątpliwości natury prawnej. Sejm wyłania z pośród siebie „Komisję Główną” pod przewodnictwem marszałka Sejmu, która układa kilka dodatkowych punktów „małej konstytucji”.

Prawica stawia wniosek o votum nieufności dla Naczelnika Państwa, w głosowaniu 26 lipca wniosek zostaje odrzucony większością 18 głosów (205 przeciw 187).



29 lipca zostały ukończone prace Komisji Głównej.

Zaprobowala ona powierzenie premjerostwa profesorowi doktorowi Nowakowi, desygnowanego przez Naczelnika Państwa.

Kryzys skończył się.

Gabinet z p. Nowakiem na czele przetrwał do nowych wyborów do Sejmu.

W Warszawie kursował na ten temat dowcip następujący: Francję w swoim czasie ratował gabinet na czele z doktorem medycyny Clemenceau, a Polskę ma ratować — doktor weterynarii (p. Nowak był profesorem uniwersytetu w Krakowie, gdzie wykładał na wydziale weterynarii).

Kryzys skończony, ale skutki i echa pozostały.

Ten prawie 2 miesięczny okres był pod bardzo wielu względami zgubnym dla kraju — nasz kredyt i nasza waluta z każdym dniem staczały się w dół..

W murach Belwederu w ogóle, a specjalnie co do mnie stworzyła się atmosfera nerwowa; miałem w Belwederze „przyjaciela”, który przychodził do mnie i informował mnie „ściśle poufnie”, ale z „najpewniejszych źródeł”, że już mianowany mój zastępca, że obejmie moje stanowisko „za tydzień”, „za kilka dni”, „od 1-go”.

Ze mną osobiście o tem nie mówiono — czekałem. Byłem zdecydowany dotrzeć do końca.

57 wiosen życiowych, które już niosłem na plecach, dały mi pewne wyróbenie życiowe—w mojem życiu przeżywałem sporo chwil ciężkich i smutnych. Z czasów szkolnych utkwil mnie w pamięci fakt, przytoczony w historii wojen na morzu: przy zatonięciu w czasie boju, jednego z włoskich okrę-

tów — załoga częściowo ratowała się, częściowo wyginęła, na pokładzie przy fładze okrętowej pozostał młody gardemaryna (aspirant), który do ostatniej chwili trwał na stanowisku — broniąc sztandar okrętowy i strzelał, nie dopuszczając zdjęcia flagi; ostatnie strzały dawał trzymając ręce nad głową, bo już cały był w wodzie — ale do ostatniej chwili trwał i — wytrwał na stanowisku...

Były i inne chwile takie, które na długo pozostaną w pamięci. Zaliczę do nich zaszczyt, który mnie spotkał, kiedy w Lipcu zostałem delegowanym do Gdyni, dla powitania, w Imieniu Naczelnika Państwa, francuskiej eskadry, która pierwszy raz odwiedzała port polski.

W b. Rosji, przez długi szereg lat nosiłem mundur morski, nieraz bywałem przy różnych okazjach na okrętach floty francuskiej, włoskiej, austriackiej — ale czy mogłem kiedyś marzyć, że spadnie na mnie ten wyjątkowy zaszczyt i honor — reprezentować Najwyższego Dostojnika naszego Państwa, a poniekąd i Polskę — na pancerniku francuskim...

Nie powodowała mną ani próżność, ani ambicja — a całokształt 30 letnich przeżyć w otoczeniu ideowo wrogiem — gdy większości z pośród nas wydawało się, że nasze pokolenie nie dożyje do świetlanej wolności.

Iluz to z pośród nas nieraz powtarzało słowa poety:

„I z dni tych wszystkich wybranej kolei  
Wyrasta napis — tu niema nadziei”.

Stało się inaczej, pracuję w swoim kraju, wśród swoich i dożyłem tej chwili, kiedy eskadra francuska stoi w naszym polskim porcie i wita



generała polskiego podniesieniem flagi polskiej i odegraniem hymnu polskiego.

Na pancerniku witają mnie w galowych strojach — admirał, oficerowie, załoga.

Pierwszy raz wolna Polska ma swojego urzędowego reprezentanta na eskadrze okrętów francuskich.

Gdym odjeżdżał, dano 15 salw armatnich; jest to forma pożegnania, stosowana jedynie wobec najwyższych dygnitarzy.

Takie chwilę pozostają na długo w wdzięcznej pamięci...

W południe odbył się obiad na naszym torpedowcu a wieczorem bal dla francuzów w hotelu Riwiera — wtedy jedynym jeszcze w Gdyni.

Nazajutrz miał odbyć się bal na francuskim pancerniku, ale ja wróciłem do Warszawy razem z francuskim admirałem Conti i jego sztabem. Admirał przyjechał złożyć wizytę Naczelnikowi Państwa i zwiedzić Warszawę.

Drugi fakt, który miał miejsce już późną jesienią i pozostał również w pamięci. Mam tu na myśli ostatnie chwile generała Iwaszkiewicza, który umarł w strasznych katuszach, z powodu raka w głowie.

Gdym zameldował Naczelnikowi Państwa, że generał nieuleczalnie chory, wnet wyrwało się u Naczelnika Państwa — „Chryste Jezu”...

Bodaj w dniu śmierci udekorowałem go, z polecenia Naczelnika Państwa, krzyżem *Virtuti Militari* 2-ej klasy. On był pierwszym w Polsce, który otrzymał krzyż tej wtedy najwyższej klasy.

Całe otoczenie, wraz ze mną, które stało u łóżka, jego, było do głębi przejęte, gdy po zawiązaniu mu przezemnie na piersiach dużego krzyża, on zwró-

cił się do mnie ze słowami — „widocznie już umieram Generale”.

Generał Iwaszkiewicz cieszył się zasłużoną sympatią i popularnością; przez cały czas swojej służby składał dowody nie tylko męstwa i odwagi, ale i żołnierskiej subordynacji. Poznałem go jesienią 1917 r. przez parę miesięcy pracował ze mną w Naczipolu w Piotrogradzie.

Kiedy oswobodził się wakans dowódcy 3 Dywizji w naszym I-szym Korpusie gen. Iwaszkiewicz wyjechał do sztabu generała J. Dowbor Muśnickiego.

Z wybitnych jego czynów znany jest przemarsz na czele 3 Dywizji w styczniu 1918 r. przez zbolszewiczyły kraj, a następnie obrona Lwowa.

We Lwowie generał cieszył się ogólną sympatią, Rada Miejska postanowiła prosić by pochowano go we Lwowie, mimo, że pierwsze jego wystąpienie nie grzeszyło wersalskością. Opowiadał mi kiedyś, że przy obejmowaniu Dowództwa zastał miasto w niesłychanie brudnym stanie. Zaprosił więc członków magistratu i zwrócił ich uwagę na konieczność jak najprędszego doprowadzenia wszystkiego do porządku.

Gdy mu na to odpowiedziano, że brakuje pieniędzy na szybkie oczyszczenie wszystkiego, Iwaszkiewicz odparł: nie wiem jakie będą konsekwencje dla mnie, ale uprzedzić muszę—że o ile miasto nie zostanie w przeciągu 48 godzin doprowadzone do porządku, będę zmuszonym kilku z pośród panów — powiesić!..

Porządek był zrobiony...

---



## VIII

Rok 1922.

### **Wybory do Sejmu. Ustąpienie Naczelnika Państwa. Zabójstwo pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej.**

Wybory do Sejmu i Senatu zostały wyznaczone na początek Listopada, ale kampanja wyborcza rozpoczęła się już od lata.

W pierwszych dniach Sierpnia Naczelnik Państwa wyjechał do Krakowa na uroczystość rocznicy wystąpienia Legionów w 1914 r. Pozostałem w Warszawie.

Wkrótce po jego powrocie pojechałem z nim do Głębokiego na uroczystość pułkową w 13 pułku ułanów, a potem spędziliśmy kilka dni w Wilnie.

Z okolicami Głębokiego połączyło u mnie dużo wspomnień z lat dziecinnych — przez długi szereg lat jeździłem do zacisznego dworku w Michałowie, do którego wtedy od najbliższej stacji kolejowej (Święciany) było z górą 100 kilometrów.

Tyle wspomnień ciśnie się do głowy! Nie byłem w tych okolicach blisko 30 lat i jak wszystko nie tylko nie polepszyło się, ale jakby nawet poszło wstecz — rola jakby gorzej uprawiana, lasy powy-

trzebiane, ma się wrażenie, że ten zakątek kraju jeszcze więcej zbiedniał.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Woropajewa to pociąg zatrzymał się, bo lokomotywa była za słabą i pociąg nie mógł przevorsować przejazd przez wzgórze. Asystujący w pociągu inżynierowie byli bardzo speszeni, ale po kilku próbach udało się „wziąć tą przeszkodę” i ruszyliśmy dalej.

W Głębokim Naczelnik Państwa zwiedzając kontrolną stację telefoniczną kazał sobie łączyć z różnymi placówkami pogranicznymi: szło z tem — różnie...

W Wilnie i Wilejce odbył się również cały szereg wojskowych uroczystości, na ogół przyjęcie było cieplejsze, więcej ludzi, ożywienia.

Któregoś dnia wracaliśmy samochodami z Wilejki, samochód Naczelnika Państwa raptownie zatrzymał się, jechałem w następnym, groziło, że możemy nalecieć, mój szofer raptownie skręca i koła samochodu ukazują się tuż nad wysoką kruczą i tylko szczęśliwy traf uratował nas od katastrofy...

W kraju wyczuwał się nastrój nerwowy, złączony ze zbliżającymi się nowymi wyborami do Sejmu.

Do Belwederu ciśnie się na audjencje coraz więcej osób ze sfer politycznych, a nawet i apolitycznych; pewnego dnia ostatni „gość” wyszedł od Naczelnika Państwa o 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> rano.

25 Sierpnia wyjechaliśmy na Śląsk, który tylko co został obsadzony przez nasze wojska.

Podczas jednej z licznych podróży inspekcyjnych, raz w nocy, obchodząc pociąg jako komendant, przyłapałem całe towarzystwo, grające w wysoki hazard, okazało się, że to urzędnicy przydzie-



leni do eskorty Naczelnika Państwa, skracają sobie czas podróży...

Z wielką ciekawością jechałem na Śląsk, którego nigdy przed tem nie widziałem, pozatem szło o to, jak zareaguje na pierwszy przyjazd Naczelnika Państwa miejscowa ludność. Duże wpływy polityczne miały tu partje przeciwne rządowi i można było również oczekiwać ukrytych prowokacyjnych wystąpień wrogich nam elementów niemieckich.

Uroczystości rozpoczęły się od przyjazdu do dawnej granicy ze Śląskiem — stacja Herby— gdzie do pociągu wsiadł wojewoda.

Pociąg zatrzymał się w Łubieńcu, gdzie odbyło się, stosownie do programu: powitania na stacji, msza polowa, defilada, dekoracja odznaczonych powstańców, śniadanie, urzędowe przemówienia.

Wszystko odbyło się bez entuzjazmu, ale correct.

Samochodami — Naczelnik Państwa ze mną — pojechaliśmy przez Tarnowskie góry, gdzie stoi 3 pułk Warszawskich ułanów, który nas powitał na szosie. Stosownie do programu podróży, najpierw pojechaliśmy do Skrebnicy dla zwiedzenia huty srebrnej i stamtąd już o zmroku wróciliśmy do 3 pułku ułanów, gdzie byliśmy w Kasynie oficerskiem na krótkim przyjęciu. Naczelnik Państwa nie mógł dłużej zabawić w gronie oficerów i ich rodzin, bo trzeba było zdążyć jeszcze do Piekar, gdzie jest obraz cudownej Matki Boskiej; czekały nas tłumy publiczności i liczne duchowieństwo. Odbyło się krótkie solenne nabożeństwo, potem zwiedzanie klasztoru i przyjęcie u proboszcza.

Wyjechaliśmy z Piekar do Katowic po 8-ej.

Miejscowość na Śląsku sprawia wrażenie imponujące w dzień, jako ośrodek bardzo rozwiniętego

przemysłu, ale w nocy wrażenie to jest jeszcze potężniejsze: widać naokoło — gdzie oko sięgnie — ogniska fabryk, przypominało się to, co się widziało w Anglii, w Belgji — i serce rosło, patrząc na ten nasz polski Manczester, Szeffield, Liege...

Obyśmy tego wielomiljardowego skarbu narodowego — nie zmarnowali!...

Jadąc do Katowic musieliśmy pilnie uważać, by przypadkiem nie przekroczyć granicy niemieckiej gdyż w kilka dni przed naszym przyjazdem grupkę oficerów francuskich, jadącą wieczorem do Katowic, która przekroczyła granicę — aresztowano.

Dopiero około 11 wieczór byliśmy u siebie w pociągu, który przyszedł do Katowic.

Następny dzień w całości był poświęcony uroczystościom.

Rozpoczęło się od powitania na dworcu przez władze wojskowe, cywilne, duchowieństwo, delegację, potem uroczysty wjazd do miasta powozami z eskortą, msza polowa na rynku, dekorowanie odznaczonych powstańców, defilada wojsk i organizacji górniczych (pierwszy raz widziałem oryginalne stroje galowe naszych Ślązkich górników), śniadanie w starostwie, audjencje zbiorowe i osobiste.

Około 5-ej nastąpił wyjazd samochodami do Czeladzi, jechałem z Naczelnikiem Państwa; gdyśmy podjeżdżali do fabryki Saturn, gdzie mieliśmy zatrzymać się (fabryka już w terytorjum kongresówki). Naczelnik Państwa zobaczył w witającym go tłumie dyrektora fabryki z swojemi pomocnikami, wśród których był jeden, jak okazało się dawny znajomy, który przed 15 laty, z narażeniem życia, przewoził Naczelnika Państwa właśnie z fabryki Saturn na Śląsk.



Naczelnik Państwa zaprosił go do naszego samochodu i po krótkim zatrzymaniu się w świetlicy gdzie na nas czekano, Naczelnik Państwa sam zaprosił się w odwiedziny do swojego starego znajomego.

W małym przytulnym mieszkaniu spędziliśmy sporo czasu na serdecznej, cieplej rozmowie.

Przy pożegnaniu gospodarz prosił, żeby on znów mógł pojechać z nami do mostu, do którego przed 15 laty, dowiózł w nocy obecnego Naczelnika Państwa.

Tłumy ludzi czekali na nas przy wyjściu i żegnali owacyjnie.

Na moście pożegnaliśmy się.

Musieliśmy śpieszyć do Katowic, Naczelnik Państwa musiał się przebrać w galowy mundur na obiad, który urządzał wojewoda w „Reichshalle” i wkrótce po tym obiedzie w tym że lokalu odbył się raut, trwało to wszystko prawie do północy.

Jeszcze zrana starosta i wojewoda prosili Naczelnika Państwa by spędził noc nie w pociągu a w gmachu starostwa. Naczelnik Państwa zgodził się, nocowałem w pokoju sąsiadującym z jego apartamentem, po tych uroczystościach parę godzin upłynęło na nieurzędowych konferencjach i korygowaniu wysyłanych do prasy, streszczeń przemówień.

Ze snem poszło nie najlepiej, bo nie zważając, że był ciepły Sierpniowy wieczór — znalazłem u siebie zamiast materaców pierzynę, dano mi również pierzynę jako kołdrę, co niezbyt usposabiało do snu...

Wczesnym rankiem nastąpił wyjazd samochodami do Rybnika, gdzie miała odbyć się msza polowa, w drodze zatrzymaliśmy się na krótko u ks.

infułata Kapicy, który gościnnie podejmował nas rannym śniadaniem.

O 11-ej w Rybniku była msza polowa, dekoracja odznaczonych powstańców, defilada, śniadanie w starostwie i wyjazd samochodami do Pszczyny. Jechałem z Naczelnikiem Państwa, był śliczny słoneczny dzień. W drodze zatrzymywaliśmy się dwa razy, raz w Brzezynie, gdzie z pagórka widzieliśmy Odrę i granicę obu Państw — Czech i Niemiec.

Przed oczyma rozścielał się śliczny widok. Myśl leciała do przeżyć dni minionych, tej tak drogiej każdemu polakowi polaci ziemi Polskiej, która przez szereg wieków była pod jarzmem duchownem bezwzględного teroru niemieckiego.

Miejscowy proboszcz opowiadał nam o tych katuszach i znęcaniach się przez niemieckich hakatystów nad tymi ślazakami, którzy dążyli do połączenia się z Polską. — Drugi postój odbył się w Żarach, gdzie znów odbyła się rewja wojskowa, defilada i bardzo gościnne przyjęcie w mieszkaniu miejscowego burmistrza (podano nawet szampana).

Na godz. 6 m. 30 przybyliśmy do Pszczyny, znów dekoracja, defilada i bardzo elegancki obiad w pałacu nieobecnego księcia Pleskau; wszystko odbyło się z wielkim taktem i w porządku.

Co prawda zaszła jedna komiczna gafa.

W czasie przygotowania się do defilady, burmistrz Pszczyny „bawił” Naczelnika Państwa rozmową i słyszałem jak mu mówił, „że szkoda, że nie przyjechalibyśmy trochę wcześniej, bo dopiero przed kilkoma dniami została usunięta brama powitalna, wystawiona na powitanie przybyłych tu wojsk polskich”.



Wieczorem byliśmy już u siebie w pociągu i zrana w Warszawie.

W Warszawie z organów prasy dowiedziałem się o „rychłym ustąpieniu ze stanowiska generała Jacyny”. Miałem wrażenie, że niektórym osobnikom bardzo szło o to, żeby zmusić mnie do prośby o zwolnienie ze stanowiska.

Jak przy otrzymaniu tego tak wybitnego stanowiska, — o zajęcie którego nie robiłem absolutnie żadnych zabiegów, tak i będąc na stanowisku, czekałem jako wojskowy, rozkazu, nie uważając bym miał prawo usunąć się dobrowolnie, bez względu na ewentualne korzyści: bo gdym był wolny, to mogłem wszcząć intensywne starania o wybranie mnie do Sejmu lub Senatu, która to praca była zawsze moim marzeniem.

I muszę tu stwierdzić, że cała ta atmosfera, którą stworzono obok mnie, mocno mnie denerwowała...

Odkładany od Maja wyjazd do Rumunji, doszedł do skutku dopiero 12 Września; Naczelnik Państwa wrócił 18-go.

Ani ja, ani Szef kancelarji cywilnej nie pojechalśmy do Rumunji, o pobycie tym wiem tylko z opowiadań otoczenia. Osobiście Naczelnik Państwa opowiadał mi, gdy jechałem z nim z dworca do Belwederu, o przykrym wypadku: w czasie manewrów artylerji przedwcześnie wybuchł pocisk — byli ranni i zabici. Ale ogólne wrażenie było bardzo dobre, przyjęcie odbyło się w letniej rezydencji królewskiej w Sinaji. Naczelnik Państwa spędził przeważnie czas w bardzo ścisłym gronie rodziny królewskiej.

W czasie pobytu Naczelnika Państwa w Rumunji jeździłem wraz z p. Carem automobilem do

Białej Wieży celem wizytacji pałacu, który przechodził do dyspozycji Naczelnika Państwa i gdzie miały się odbywać przyjęcia w czasie polowań reprezentacyjnych.

Jechałem przez Wyszaków, Bielsk, wracałem przez puszcę, Brześć, Siedlce.

Przez cały czas przemilej podróży dopisywała pogoda.

Pierwszy raz byłem w puszczy białowieżskiej i mieliśmy możność zwiedzić nawet kawał prawdziwej „puszczy”. Mimowoli przychodziły na myśl fragmenta z Mickiewicza, opisujące te mało znane tajniki...

Co za ukojenie nerwów, po trybie życia pełnym zdenerwowania, niepokoju, goryczy i zawodów!

Kiedyś, dawno, dawno, za lat młodzieńczych doznawałem takiego samego błęgiego pokoju i oderwania się od trosk życiowych — na morzu, kiedy w słoneczny spokojny dzień, przy cichym wietrze, jechaliśmy pod żaglem, i przed sobą nie widziało się nic oprócz bezbrzeżnej wodnej przestrzeni i błękitu nieba, i kiedy wszystko co się dzieje tam na dalekim lądzie, wydaje się takim maluczkim, mało ciekawym — i myśl odrywa się od powszechnej prozy codziennej...

Nigdy i nigdzie nie doznaje się takiego wytchnienia po przeżyciach życiowych, jak na morzu, a po części i w naszych lasach litewskich...

„Pałac” w Białowieży, co prawda, okazał się „pod psem”. Przygotowano dla mnie „jeden z najlepszych pokoi”, zajmowany ongiś przez starszą córkę cesarza rosyjskiego, ale brakło tam literalnie wszystkiego, zaczynając od wygodnej pościeli, firanek, dzwonka, a nawet i wody.



Spędziliśmy tam dwa dni. W następnym dniu zwiedziliśmy w Chajnówce fabrykę przetworów chemicznych, technicznie bardzo ciekawą; podejmowano nas bardzo gościnnie.

Po powrocie Naczelnika Państwa nastąpił znów szereg krótkich wyjazdów reprezentacyjnych, w czasie których był czas zajęty od najwcześniejszego ranka do późnej nocy.

W okresie koniec Września—Listopad byliśmy dwa razy w Wilnie i na Wołyniu, zatrzymywaliśmy się w Głębokim, Krzemieńcu, Łucku i Zamościu.

Każda z tych podróży miała swoje odrębne cechy.

Wycieczkę na Wołyń rozpoczęliśmy od Krzemieńca, w którym nigdy przedtem nie byłem. Zatrzymaliśmy się w gmachu Liceum Krzemienieckiego, zwiedziliśmy kościół, cerkiew i synagogę.

Pierwszy raz byłem świadkiem modłów metropolity prawosławnego, modlącego się o „pomysłność, Państwa Polskiego i Naczelnika Państwa”, a następnie znów pierwszy raz byłem obecnym w szczególnie zapelnionej synagodze, gdzie zebrany tłum śpiewa po polsku „Boże coś Polskę”...

Co prawda z wyższemi dygnitarzami cerkwi prawosławnej w Polsce już spotkałem się w Warszawie, ale na innym gruncie — na obiedzie, który wydał premier Ponikowski z powodu przyjęcia przez zjazd biskupów prawosławnych „autokefalji” — autonomicznego zarządu spraw duchownych, niezależnych od patrijarchatu rosyjskiego.

Charakterystycznem było, że zaproszenia były warunkowe — obiad dojdzie do skutku, o ile akt ten zostanie podpisany.

Miałem ciekawych sąsiadów — metropolitę

Dyonizego, który wkrótce na tle zemsty osobistej został zabity przez jednego z księży prawosławnych — on poprawnie mówił po polsku i z drugiej strony byłego archydiekana „Początek” tak jeszcze niedawno zdecydowanego wroga Polaków...

W Krzemieńcu w murach liceum dawał się we znaki brak mebli i wszelkiego komfortu; całodzienny pobyt w tych — wilgotnych wtedy — murach był męczący, ale ogólne wrażenie dobre, odczuwało się przeszłość, widziało się naocznie ślady jeszcze przedrozbiorowej kultury Polskiej.

W międzyczasie zdążyliśmy zwiedzić ruiny zamku królowej Bony, skąd roztaczał się śliczny widok na ładną okolicę.

Urządowe przyjęcia były szablonowe. W nocy wyjechaliśmy do Łucka.

W tym dniu pracowaliśmy od najwcześniejszego ranku do późnej nocy.

W drodze od wczesnego ranku przy postojach na stacjach wychodziłem witać w Imieniu Naczelnika Państwa czekające deputacje.

Przebieg uroczystości w Łucku mniej więcej ten sam, po nabożeństwie Naczelnik Państwa był z wizytą u biskupa Dybowskiego.

Pobyt w Krzemieńcu i w Łucku na ogół pozostawił dobre wrażenie, chociaż moja skromna osoba, daleka od wszelkich kombinacji polityczno-przedwyborczych, spełniała tylko funkcje urzędowe.

Nazajutrz rano po krótkim zatrzymaniu się w Lublinie, przyjechaliśmy do Zamościa, który mi wprost zaimponował; byłem również pierwszy raz w tym mieście, wszędzie widać jaskrawe ślady naszej polskiej wiekowej kultury — każdy musi tam stwier-



dzić, że Polska nie jest „parweniuszem” w gronie kulturalnych narodów.

Rynek, budynki na nim się wznoszące—to świadectwo wieków, jak we Włoszech, we Francji.

Opowiadano mi, że biblioteka Zamojskich w Zamościu zaimponowała nawet obecnemu papieżowi Piusowi XI, który sam przez dłuższy czas był bibliotekarzem w Watykanie.

Przez cały czas naszej podróży był ładny czas; poza urzędowemi uroczystościami — i przeważnie w Zamościu — wyczuwała się pewna rezerwa ze strony sfer społecznych, prawie zupełny brak obywatelstwa ziemiańskiego i pewna oględność w przemówieniach kleru duchowieństwa katolickiego.

Tą samą rezerwę odczuwało się nawet i w czasie naszej podróży do Wilna, gdzie bawiliśmy od 31 Października do 2 Listopada.

Uroczystości wojskowe w Wilejce i w uniwersytecie Stefana Batorego, gdzie Naczelnikowi Państwa wręczono akt o mianowaniu go doktorem honorowym matematyki, odbyły się bardzo uroczyście, ale w czasie przyjęć szeregu deputacji i na raucie, na którym było może blisko 1000 osób, wyczuwało się, że towarzystwo nie było zgrane.

Najmilsze wrażenie wywarła na mnie rzewna uroczystość składania wieńców na mogiłach naszych żołnierzy na cmentarzu na Rossie.

Po solennem nabożeństwie w Katedrze procesja z licznym tłumem ruszyła na cmentarz. Brałem również udział w pochodzie jako reprezentant Naczelnika Państwa, który przyjechał później. Ksiądz biskup Bandurski wygłosił wzruszające kazanie.

To był mój ostatni służbowy wyjazd.

W końcu Września otrzymałem zawiadomienie

o przygotowującym się zamachu na Naczelnika Państwa, zakomunikowałem to ministrowi spraw wewnętrznych.

Ogólna europejska atmosfera publiczna była niewyraźna. W tym okresie bawił w Warszawie w drodze zagranicę Czyczierin. Naczelnik Państwa konferował z nim jakąś godzinę.

Nigdy nie rozmawiałem z Czyczierinem. Kiedy w Styczniu 1918 r. projektowaliśmy (członkowie Naczpola) odwiedzić go w Smolnym w sprawie naszych zatargów z ich „gławkowierchem” Krylenko—sprzeciwiałem się i postanowiłem przeprowadzić rozmowę bezpośrednio z Leninem, co też i nastąpiło w końcu Stycznia. Bo Czyczierin — „inteligent rosyjski” z tradycji i wychowania szlachcic rosyjski — pracujący na zgubę własnego narodu w gronie bądź fanatyków międzynarodowych komunistów, bądź pewnego rodzaju sadystów na tle nadludzkich znęcań terrorystycznych, był dla mnie zawsze antypatycznym, przy całej swojej „ideowości”...

Lloyd Dżorge dostał votum nieufności i został usunięty od władzy, zgubne dla naszych spraw, jego wpływy zmalały...

Po niefortunnych wynikach konferencji w Genui, a następnie i w Haadze, sprawy Ententy nie polepszyły się. Niemcy znów zaczynają odgrywać coraz większą rolę w „koncercie europejskim”.

We Włoszech definitywnie zwycięża Mussolini, w Październiku odbywa się sławny pochód faszystowski do Rzymu.

W Grecji król Konstanty abdykuje, syn jego następca tronu wkrótce umiera—od ukąszenia małpy. Ojciec wraca do Grecji, ale nie na długo i zmuszony opuścić kraj, gdzie wybucha rewolucja.



Rząd rowolucyjny w Grecji skazuje na śmierć premjera i b. ministrów...

Życie towarzyskie w Warszawie szło normalnym trybem, rozpoczęły się przyjęcia towarzyskie, nie mówiąc już o najróżnorodniejszych, przyjazdach różnych przedstawicieli. Weszło to już w pewną normę, wyrobiły się pewne szablony i coraz rzadziej zdarzały się różne gafy, których z początku było sporo.

Na zakończenie chcę przypomnieć o jednym fakcie może i nie wszystkim znanym. Angielskie poselstwo w Polsce otrzymało w spadku, po zmarłym jeszcze przed 90 laty angielskim lordzie — całą zastawę stołową ze srebra.

Ów przyjaciel naszego Narodu był względem nas wielkim optymistą — bo w testamencie zastrzegł, że jego spadkobiercy są w posiadaniu tego srebra tylko w okresie niewoli Narodu Polskiego, a z chwilą odzyskania wolności przez polaków, srebro musi być odesłane do stolicy Polski i będzie własnością poselstwa angielskiego w Polsce.

Zostałem zaproszonym na obiad do poselstwa angielskiego, gdzie pierwszy raz była na stole zastawa cała, z tego artystycznie wykonanego srebra. Uprzejma i miła żona posła, obok której siedziałem, opowiedziała mnie genezę otrzymania tej wspaniałej zastawy na kilkadziesiąt osób.

Wspomniałem już, że nasz „Belweder” nie mógł poszczycić się żadnymi zastawami, nie tylko ze srebra, ale i platerów i, że gdy w końcu Stycznia, miała być urządzona „herbatka” na 25 — 30 osób — dla gabinetu ministrów i artystów po przedstawieniu „szopki”, to jak już wspomniałem, posyłano po fili-

żanki i łyżeczki do pp. oficerów mieszkających w Belwederze.

Budżet Naczelnika Państwa był bez porównania mniejszy od budżetu, którym rozporządzał Prezes Ministrów.

Nie uważam za wskazane zatrzymywać się na szczegółowych pozycjach tego wyjątkowo skromnego budżetu, ale mogę przytoczyć tylko niektóre pewne „ściśle” tyżące niektórych cyfr „reprezentacyjnych”.

Jako Generalny Adjutant, otrzymywałem z tego tytułu dodatek „na przedstawicielstwo” — 100 marek miesięcznie. Na „herbatki” u mojej żony co Sobotę — poniekąd reprezentacyjne — zbierało się około 40—50 osób — i w tej liczbie sporo osób z kół dyplomatycznych, a więc koszta, połączone, nawet z bardzo skromnym przyjęciem wynosiły sporo, nie mówiąc o całym szeregu innych, znacznie większych wydatkach „reprezentacyjnych”.

Adjutanci przyboczni Naczelnika Państwa otrzymywali „reprezentacyjny” dodatek miesięczny w ilości — 50 marek miesięcznie — gdy rękawiczki oficerskie wtedy kosztowały już kilkaset marek...

Nadchodził 5 Listopad — dzień wyborów do Sejmu.

Szereg osób który będzie odczytywać te kartki jeszcze dobrze pamięta okres tych przedwyborczych dni.

Nie było ani w społeczeństwie ani nawet wśród sfer rządowych, rozbieżności w opinii co do smutnych wyników 4 letniego okresu działalności pierwszego Sejmu, i mnie się wydawało, że powszechne niezadowolenie i rozczarowanie z sejmu „suwerenno-ustawodawczego” spadało nietylko na samych byłych członków Sejmu, ale i sfery rządowe.



Z 432 „plenarnych” posiedzeń tego Sejmu całokształt dorobku był nieobfity, który dał by się w ten sposób sformułować: góra porodziła mysz!

Działalność pierwszego „suwerennego” sejmiku musi w najkrótszym czasie doczekać się wyczerpujących podstawowych monografij, na tle ściśle rzeczowym; ale wśród społeczeństwa te stałe zacietrzewienie wąsko partyjne, reagowanie na sprawy wielkiej doniosłości Państwowej, z punktu widzenia — „podwórka partyjnego”, wyzyskiwanie swoich wpływów w sprawach, nawet nie tylko partyjnych, ale niestety czasami — i osobistych, w których podłożem były różne — „koncesje” i t. p. wywoływały ogólne uczucie smutku i goryczy...

Kto jak ja był na sali sejmowej w Lutym 1919 r. na otwarciu pierwszego sejmiku i 28 Listopada 1922 r. przy otwarciu nowego Sejmu i Senatu, nie może nie skonstatować, że w 1919 r. Komendant Piłsudski został jednogłośnie ze szczerym entuzjazmem wybrany Naczelnikiem Państwa, a w 1922 r. część Sejmu i Senatu — „prawica” zachowała się nie tylko wrogo a nawet wprost niekulturalnie, bo przy otwarciu przez niego Sejmu, przy jego odejściu z posłów prawicy nikt nie wstał...

Rezultaty nowych wyborów do Sejmu w gruncie nie zadowolniły ani lewicy, ani prawicy — nie było zwycięzców, a tylko zwyciężeni.

Mandaty podzieliły się tak, że żadna z partij nie otrzymała większości i w tych warunkach decydującym czynnikiem, przy rozstrzyganiu najaktualniejszych spraw narodowych — będąc nadawcą „mniejszości narodowe”, które stały się „języczkiem u wagi”, decydując o losach głosowania.

W pierwszym Sejmie rolę „języczka uwagi” od-

grywała partja „konstytucyjno-demokratyczna” — nieliczna, bo składająca się tylko z 14—16 osób, ale mająca w swoim zespole ludzi tak wybitnej inteligencji i kultury jak arcybiskup Teodorowicz, hr. Bawarowski, D. Abrahamowicz, profesorowie Stesłowicz, Halban i inni.

A interesa obecnych grup mniejszościowych często nie tylko nie idą po linii potrzeb Państwowości Polskiej, lecz nawet pozostają z niemi w sprzeczności.

Te same rezultaty wyborów były i do Senatu.

Ogólny rezultat wyboru 444 posłów przedstawiał się następująco: około 188 z bloku lewicowego (lewica i partja Witos), około 170 — prawica i około 86 „dzikich,” (izraelici, niemcy, ukraińcy, białorusini, komuniści).

Zaczynają się przetargi polityczne co do osoby przyszłego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Mobilizacja sił wskazuje, że przy wyborach Prezydenta, na 555 głosujących (444 członków Sejmu i 111 senatorów) lewica i prawica mogą liczyć każda na zapewnionych 219 głosów, a wybór osoby zaceduje „mniejszość narodowa”.

Wybory Prezydenta zostały wyznaczone na 9-go grudnia.

Następuje ostatni okres mego pobytu w Belwederze. Ostatnie tygodnie w Belwederze były bardzo nerwowe. 28 listopada asystowałem Naczelnikowi Państwa przez cały dzień; po solennem nabożeństwie w katedrze odbyły się uroczystości otwarcia Sejmu i Senatu; kiedy wracaliśmy z Sejmu czułem się zdenerwowanym, ale nietylko ja...

Po otwarciu Sejmu zdenerwowanie ustąpiło — miało się wrażenie, że jakby w czasie choroby — pękł wrzód.

W mieście wymieniano codziennie innych kandydatów na Prezydenta. Opowiadano że Witos stawia



warunek połączenia się swojej partji z lewicą—wybór jego, wymieniano nazwiska marszałka Trąpczyńskiego, ordynata Zamojskiego, b. ministra spraw wewnętrznych Wojciechowskiego, ministra spraw zagranicznych Narutowicza, generała Sosnkowskiego, byłego premiera Ponikowskiego — szanse każdego zmieniały się przynajmniej po kilka razy...

2 grudnia ugrupowania lewicowe przybyły do Naczelnika Państwa z propozycją przyjęcia kandydatury na Prezydenta. Naczelnik Państwa zaprasza na 4 grudnia posłów do prezydjum ministrów, gdzie ma do zebranych godziną przeszło mowę, w której on definitywnie odrzuca propozycję; na tem posiedzeniu ja z nim nie byłem, pojechał p. Car.

Od tej chwili w Belwederze rozpoczynają się przygotowania do urzędowych pożegnań Naczelnika Państwa.

Na 6 grudnia Naczelnik Państwa zaprosił do siebie cały Korpus Dyplomatyczny; było dwa przemówienia Naczelnika Państwa i nuncjusza Lauri, jako z urzędu doajena korpusu dyplomatycznego, następnie „cercle” i wspólna herbatka.

Dłużej zatrzymano posłów: francuskiego—p. Panafileu, amerykańskiego — p. Gibsona, angielskiego — p. Max Mullera i włoskiego — p. Tomasini, rozmowa z nimi potrwała jeszcze z 1½ godziny.

Ten dzień jest dla mnie osobiście pamiętnym i dlatego, że po 4 z górą latach, doczekałem się w Warszawie własnego mieszkania i z Belwederu pojechałem już nie do hotelu Bristol, a do własnego mieszkania.

To co przeżyło się w Warszawie przez 4 lata—nie spisałbym nawet na wołowej skórze. Hotel, potem pensjonat, dwa z rzędu „zarekwirowane” miesz-

kania (i jak już wspomniałem — niech Bóg dobry wybawi każdego od tego), znów aż przez 2½ lata hotel, gdzie przez jakiś czas, nie mieliśmy dwóch pokoi obok i, przez kilka miesięcy, musieliśmy mieszkać z żoną w różnych piętrach; szereg wstrętów, jakie mnie czyniono nim doszedłem do mieszkania, kłopoty z remontem mieszkania, nieremontowanego może przez 15 lat...

Mówiłem żonie, że to Pan Bóg karze nas „za pychę serca“, bo w Petersburgu od dnia ślubu, do chwili ucieczki od bolszewików mieszkaliśmy w tym samym domu i mieliśmy bardzo wygodny lokal, składający się z 10 pokoi...

8 grudnia odbyła się pożegnalna herbatka dla najbliższego otoczenia, byliśmy oboje z żoną, trwało to od 9 do 12, było wielkie ożywienie i Naczelnik Państwa był w najlepszym humorze. Po 12-ej, o ile przypominam, miały się odbyć jeszcze konferencje z paru osobami.

Wybory na Prezydenta odbyły się 9 grudnia. W przyszłości to może zainteresować niektórych z czytelników, więc przytaczam cyfrowe wyniki próbnych głosowań, których odbyło się 5 — o wynikach nam ciągle telefonowano — po każdym spadał jeden z 5 ogłoszonych urzędowo kandydatów.

#### Głosowania:

|                       | I   | II  | III | IV  | V   |
|-----------------------|-----|-----|-----|-----|-----|
| p. M. Zamojski        | 222 | 228 | 228 | 224 | 228 |
| p. G. Narutowicz      | 62  | 151 | 158 | 174 | 287 |
| p. S. Wojciechowski   | 105 | 152 | 150 | 146 | 0   |
| p. Boduen de Curtenaj | 103 | 10  | 5   | 0   | 0   |
| p. Daszyński          | 49  | 11  | 0   | 0   | 0   |
| „białych“             | 5   | 4   | 3   | 2   | 29  |

Przypominam sobie dokładnie, że w przerwie



między 2 a 3 głosowaniem przyjechał do Belwederu p. Narutowicz, ówczesny minister spraw zagranicznych i prosił mnie o niezwłoczną audyencję u Naczelnika Państwa, oświadczając nam wszystkim, że stanowczo chce wycofać swoją kandydaturę—ale do tego nie doszło, i jak widać z wyników przy piątym głosowaniu on zostaje obranym większością 29 głosów.

Jedno z pierwszych powinszowań, które otrzymał z zagranicy nowy Prezydent nadęszło z Paryża od ordynata hr. Zamojskiego, który składa mu życzenie owocnej pracy.

11 grudnia w południe odbyć się miało w Sejmie uroczyste złożenie przysięgi, ale już od chwili kiedy wyniki wyborów doszły do publicznej wiadomości, w mieście rozpoczyna się agitacja prawicowa na wielką skalę. Od rana 11-go na ulicach przylegających do Sejmu zebrały się tłumy, z którego donoszą się okrzyki protestu. Na jednego z najstarszych wiekiem senatorów z partji lewicowej rzucono się z laskami.

Jeszcze 10-go kiedy byłem razem z Naczelnikiem Państwa na raucie w pułku szwoleżerów, z powodu pułkowego święta, dowódca pułku otrzymał wyczerpujące instrukcje dla eskorty nowego Prezydenta z jego mieszkania do Sejmu i z powrotem już do Belwederu (nowy Prezydent jako minister mieszkał w jednym z rządowych gmachów w Łazienkach, bo budowany przez niego dom mieszkalny nie był jeszcze ukończony).

O 12 godzinie 40 minut zatelefonowano z Sejmu do Belwederu, że przysięga podpisana przez Prezydenta.

O godz. 1-ej minut 15 znów telefon — że tłum nie wypuszcza nowego Prezydenta z gmachu Sejmu.

Natychmiast zostały wysłane przed Sejm jeszcze dwa szwadrony szwoleżerów — z kulomiotami...

Co za ciężkie i smutne chwile przeżywałem wtedy — chyba nie ja jeden w Warszawie.

Cały koszmar przeżyć w okresie rewolucji rosyjskiej wstaje przed oczyma...

Prezydent przyjechał do Belwederu nie Alejami Ujazdowskimi, a przez park Łazienkowski.

Do powozu rzucono kawałki lodu.

O godz. 5.30 w Belwederze odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, które trwało do 9-ej. Przewodniczył Naczelnik Państwa, który do chwili oddania władzy Prezydentowi pozostawał na czele rządu.

Minister spraw wewnętrznych podał się do dymisji, funkcje jego czasowo objął minister robót publicznych p. Darowski.

Do Warszawy została wywołana 9-ta dywizja. W mieście rozpoczął się ogólny strajk — nie było wody, światła.

Pamiętam dobrze przebieg tego strajku, bo właśnie 12 grudnia, miało odbyć się u nas tradycyjne roczne przyjęcie już we własnem mieszkaniu i musieliśmy na gwałt zakupywać świece, bo jeszcze o godz. 4<sup>1/2</sup> elektryczność nie działała, ale na 5-tą było już wszystko w porządku, i u nas, nie zważając na trwożny stan i brak komunikacji, — bo strajkowały i tramwaje — zebrało się z paręset osób.

13 grudnia odbyło się pożegnanie Naczelnika Państwa z najbliższem otoczeniem i ministrami.

Premjer p. Nowak miał dłuższe przemówienie do Naczelnika Państwa, na które Naczelnik Państwa odpowiedział krótko, życząc powodzenia i szczęścia „młodej Polsce“, swoją mowę zakończył żartem.



bliwie, że od jutra on już będzie „wesołym“, a nie „pochmurnym Józefem“.

Ze strony premiera spotkał mnie nieoczekiwany zaszczyt—po pożegnaniu się z Naczelnikiem Państwa, p. premier z obecnymi ministrami przyszli do mojego urzędowego gabinetu i p. premier w imieniu swoim i pp. ministrów podziękował mi za współpracę...

Wieczorem odbyła się w Belwederze kolacja na 40 z górą osób, bez pań, siedziałem naprzeciw Naczelnika Państwa i miałem w imieniu zebranych do niego krótkie przemówienie; żadnych innych przemówień nie było.

Nastrój był bardzo dobry, skończyło się to około 12-ej, po kolacji Naczelnik Państwa pojechał do prezydenta Narutowicza.

Nazajutrz o 12 zrana odbyło się urzędowe objęcie władzy przez pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej w konstytucyjnym Państwie.

Muszę się przyznać, że robiło przynębiające wrażenie, że Prezydent dla objęcia władzy jechał jakby pokryjomu, przez park, który był okrażony wojskiem, jakby to się działo w Rosji za czasów Caratu lub bolszewików.

P. Car i ja czekaliśmy na nowego Prezydenta przy wejściu — i razem z nim poszliśmy na górę, gdzie czekał Naczelnik Państwa, w otoczeniu obu marszałków — pp. Rataja i Trąpczyńskiego, premiera i pp. ministrów czekających na niego.

Charakterystyczny szczegół: Naczelnik Państwa był w swoim legionowym mundurze, bez żadnych odznak,

Na wstępie tłumaczył się tem, że w tym mundurze dowodził pierwszą brygadą, bił się z wrogiem Polski i dla tego ma go dziś na sobie.

Następnie Naczelnik Państwa zarządał sporządzenia protokołu po zrewidowaniu kasy przez obecnych ministrów,

Zeszliśmy wszyscy na dół, gdzie został odczytany akt wyborczy przez Prezydenta Ministrów; w chwili kiedy Prezydent podpisywał akt, rozległa się salwa armatnia.

Nowemu Prezydentowi zostali przedstawieni oficerowie i urzędnicy, następnie wszyscy wyszliśmy na dziedziniec, gdzie złożyłem mu meldunek i Prezydent obszedł kompanję i szwadron, następnie odbyła się defilada; na mój rozkaz Oddziały Przyboczne wzniosły trzykrotny okrzyk „niech żyje”.

Potem odbyły się ostatnie dwa przemówienia—byłego Naczelnika Państwa do Prezydenta i jego odpowiedź.

Po tych uroczystościach odbyło się ogólne śniadanie — a la fourchette — przy udziale małżonki i krewnych byłego Naczelnika Państwa i po 2-ej były Naczelnik Państwa odjechał z małżonką — bez żadnej eskorty—do swojego prywatnego mieszkania...

Rozpoczął się nowy — tak krótkotrwały, bo tylko 46 godzinny — okres pracy pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza.

Miałem ułożony na piśmie meldunek do Prezydenta o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska.

Na razie miałem podać go tegoż dnia, ale kiedy po odejździe byłego Naczelnika Państwa zapytałem Prezydenta, kiedy będę mógł być u niego ze służbowym meldunkiem, to prosił mnie i p. Cारा, byśmy poczekali z naszymi wewnętrznymi sprawami, nim ogólne sprawy się ułożą.

Gdym nazajutrz zrana przyjechał do Bełwederu, spotkałem na dziedzińcu p. Prezydenta, który



wrócił z konnej wycieczki w parku, którą odbył wczesnym rankiem, poszliśmy z nim oglądać stajnie i wozownie (jako curiosum w stajni było dwóch wielbłądów czyjs prezent byłemu Naczelnikowi Państwa).

W Belwederze, jak i „za dawnych czasów” tegoż dnia rozpoczął się szereg konferencji Prezydenta z przedstawicielami różnych partji politycznych, wśród których byli i przedstawiciele „prawicy”, było to zupełnie zrozumiałe, ale już mniej „zrozumiałe” — kiedy na liście osób, które pospieszyli ze składaniem „hołdu” nowemu Prezydentowi — zobaczyłem i podpisy, jeszcze przed kilku dniami, jego nieprzejednanych wrogów — o to jest życie!

Tego dnia Prezydent składał wizyty: byłemu Naczelnikowi Państwa i marszałkom, asystował mu p. Car.

Kiedy odjeżdżali zwróciło moją uwagę, że Prezydent jedzie z urzędową wizytą w miękkim kapeluszu, a nazajutrz pojechał do Kardynała i na otwarcie w Zachęcie — w cylindrze, przypominam, że właśnie wtedy mnie przyszła myśl, że pierwszego dnia było „za mało”; to jest małostkowy szczegół, ale właśnie teraz, kiedy uprzątnię sobie przebieg 46 godzin przed zabójstwem Prezydenta, każdy szczegół, słowo — wstają w pamięci...

Tego dnia pozostawałem w Belwederze dość długo, wróciłem do domu około 8-ej.

Jak się potem dowiedziałem już po moim wyjeździe przyjechała delegacja z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, z prośbą, żeby Prezydent w dniu jutrzejszym, chociażby na krótko przyjechał na otwarcie grudniowej wystawy.

Szef kancelarji cywilnej p. Car jeszcze pracował i po długich naleganiach zgodził się zaprowadzić delegatów do Prezydenta, który odpowiedział,

że może—wracając z wizyty od kardynała—zajedzie na bardzo krótko na wystawę.

Było zdecydowane, żeby nie robić z tego rozgłosu i wiedziała o tem tylko kancelarja cywilna. Nie tylko ja o niczem nie wiedziałem, ale nawet i minister spraw wewnętrznych p. Darowski, a więc—i policja.

Nazajutrz 16 grudnia jestem jak zwykle od wczesnego rana w Belwederze. Około 11-ej meldują mi adjutanci: rotmistrz I. Sołtan i porucznik T. Laszkiewicz, że kancelarja cywilna zakomunikowała im, iż Pan Prezydent rozkazał przy wyjeździe do Kardynała, żeby oprócz p. Cara asystowali i oni.

Kiedy odprowadzałem wyjeżdżającego Prezydenta, ustaliliśmy, że o 4.30 on przyjmie nie pamiętam już kogoś „który znał go jeszcze w Zurichu” i który kilkakrotnie o to mnie prosił.

Zaraz po 12.15 wywołuje mnie do telefonu porucznik Laszkiewicz i melduje, że przed chwilą Prezydent w Zachęcie został ciężko ranny.

Nie wiedząc w jakim stanie mogę zastać Prezydenta, daję rozkaz by oprócz otwartego auta przygotować lando i zaalarmowałem szwadron, z którym wyruszyłem do Zachęty.

Kiedy przyjechałem, ciało Prezydenta jeszcze leżało na podłodze.

Przybyły władze sądowe, minister spraw wewnętrznych.

Chwil tych i przeżyć nigdy nie zapomnę...

Jak wiadomo zabójca w odległości trzech kroków dał 3 strzały — każdy śmiertelny.

Prezydent skonał od razu.

Po ukończeniu niezbędnych sądowych formalności, wyniesiono na noszach ciało, złożono w otwartem lando i przykryto flagą...



Wraz z doktorem pułkownikiem Piestrzyńskim, stanęliśmy na stopniach otwartego powozu i zawieźliśmy ciało do Belwederu...

Trudno dziś opisać wzruszenie; opowiadali mi później, że ci którzy widzieli ten orszak — a jechaliśmy wolno — że byliśmy bladzi jak kreda...

Szło mi i o to, żeby konduktu nie spotkał syn Prezydenta, młody człowiek bardzo nerwowy (cała rodzina była bardzo nerwowa, opowiadano, że córka ś. p. Narutowicza przez kilka lat przebywała w domu zdrowia), wydałem rozkaz zatrzymać wyjazd jego z Belwederu.

Stosownie do brzmienia Konstytucji godność Prezydenta Rzeczypospolitej, do wyboru nowego Prezydenta, objął marszałek Sejmu p. Rataj, u którego p. Car i ja niezwłocznie zameldowaliśmy się i ja kazałem wystawić stałą wartość honorową w jego mieszkaniu w gmachu Sejmu.

Tego samego dnia zapadła decyzja, że eksportacja ciała do katedry odbędzie się 19 grudnia, wybory nowego Prezydenta wyznaczono na 20 grudnia, pogrzeb na 22 grudnia.

Premjer Nowak podał się do dymisji, premjerelem został generał Sikorski, a Szefem Sztabu Generalnego były Naczelnik Państwa.

W stolicy ogłoszono „stan wyjątkowy”.

Nazajutrz o 10-ej odbyło się solenne nabożeństwo w Belwederze. Asystowałem podczas niego marszałkowi Sejmu.

Na mieście wrze. „lewica” przypisuje zabójstwo „prawicy”. Chodzą plotki o zamiarach aresztowania posłów i represyj prasowych.

Po nabożeństwie przyjechał do Belwederu były Naczelnik Państwa.

Charakterystyczne szczegóły: w przeciągu kilku dni po zabójstwie do Belwederu nadsyłano szereg listów, w których zmarłemu Prezydentowi grożono zabójstwem, z podaniem dnia i godziny...

Dla wyjaśnienia tym z czytelników, którym może być niezrozumiałe, jak mógł znaleźć się na sali, w tym krótko trwałym okresie wizyty Prezydenta zabójca, muszę zaznaczyć, że zabójca od szeregu lat był członkiem Komitetu Zachęty i widocznie czy późno w nocy, czy rano tego samego dnia został zawiadomiony przez zarząd, razem z innymi członkami. Zabójstwo było ściśle na tle fanatyczno-politycznem i on, jak sam oświadczył w czasie procesu, miał zamiar zabić byłego Naczelnika Państwa, o ile by ten został wybrany na Prezydenta.

19 grudnia o 2.30 odbyła się eksportacja ciała Prezydenta na zamek do sali rycerskiej.

Podczas pochodu nie zakłócono spokoju.

Za trumną szła rodzina, następnie marszałek Sejmu, ja za nim; następnie gabinet ministrów, członkowie Sejmu i Senatu, generalicja, różne delegacje, i ogromna ilość publiczności, stały szpalery wojsk. Był mroźny dzień, prószył drobny śnieg...

Pochód trwał z górą 2 godziny.

W drodze minister sprawiedliwości prosił mnie bym wręczył marszałkowi tuż, w czasie pochodu, prośbę o ulaskawienie jakiegoś przestępcy, skazanego na śmierć, bo egzekucja miała odbyć się już za parę godzin i nie było czasu czekać na ukończenie uroczystości.

Marszałek Rataj ulaskawił skazańca.

20 grudnia o 1-ej godzinie odbył się wybór nowego Prezydenta.



Postawiono tylko dwie kandydatury: p. Morawskiego (przez prawicę) i p. Wojciechowskiego (przez lewicę).

Został wybrany p. Wojciechowski 270 głosami, a p. Morawski otrzymał 220 głosów.

Tegoż dnia na 7 godzinę wyznaczono zaprzysiężenie nowego Prezydenta.

Kiedy 20-go zrana przyjechałem do Belwederu, znalazłem drzwi od sali, gdzie spoczywało ciało Prezydenta jeszcze zamknięte.

Gdy kazałem otworzyć, ujrzałem z przerażeniem, że nie zabrano katafalku; wszystko zostało tak, jak w chwili eksportacji.

Za kilka godzin miał przyjechać nowy Prezydent.

Gdyby nie moja przypadkowa interwencja, kto wie, byłby zastał w sali recepcyjnej — katafalki...

Między 7 a 9<sup>1/2</sup> w szybkim tempie odbył się cykl uroczystości, w których brałem udział, jako czasowy Generalny Adjutant nowo obranego Prezydenta — a mianowicie: uroczyste zaprzysiężenie nowego Prezydenta w Sejmie, objęcie władzy i następnie przyjęcie korpusu dyplomatycznego.

Z Sejmu Prezydent pojechał na Zamek, gdzie złożył wieniec na trumnie ś. p. Narutowicza, potem pojechał do Belwederu, gdzie odbyła się prezentacja personelu, defilada oddziałów przybocznych, a następnie przyjęcie ministrów.

Nazajutrz rano poprosiłem Pana Prezydenta o zwolnienie ze stanowiska, Prezydent zakomunikował mi, że wewnętrznymi sprawami zajmie się po Świętach.

Tegoż dnia zostało ogłoszone orędzie Prezydenta „Do Polaków”.

21 grudnia o 7-ej wieczorem odbyło się prze-

niesienie zwłok b. Prezydenta Narutowicza z Zamku do Katedry, trumnę niesiono przez korytarze, łączące zamek z katedrą, uroczystość odbyła się w wielkiem skupieniu.

22 grudnia odbyło się nabożeństwo żałobne, poczem zwłoki przeniesiono do katakumb katedry.

Kazanie wygłosił ks. prałat Szlagowski. Nie było to właściwie kazanie, lecz mowa chrześcijańskopolityczna, na temat — „zgody”.

Po uroczystościach pogrzebowych, odbyła się tegoż dnia w Belwederze długa konferencja między Prezydentem a posłem Głębińskim — prezesem koła partji prawicowej.

Następne dni spędziłem w Belwederze w normalnych służbowych zajęciach, przygotowując się do definitywnego zlikwidowania spraw, co faktycznie nastąpiło dopiero po miesiącu.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia wypadł na poniedziałek, wigilja więc odbyła się 23 grudnia w sobotę.

Kiedy 22 grudnia zapytałem Prezydenta o jego dyspozycjach co do wigilji i objazdu garnizonu, p. Prezydent polecił wykonanie części wojskowej uroczystości ministrowi wojny. W Belwederze miała się odbyć wigilja w bardzo szczupłym gronie jego rodziny i otoczenia bez rodzin.

Było dla mnie zupełną niespodzianką, że Prezydent zadecydował, by przy stole wigilijnym zasiadła — i służba domowa.

Na czele służby stał staruszek Rozalski, który służył w Belwederze bez przerwy z górą 40 lat, widziałem na jego twarzy wielkie zakłopotanie, a jeszcze więcej nieszczególnie czuł się przez cały



czas trwania kolacji furman — 'kroplisty pot spływał mu z czoła.

Potem byliśmy z Prezydentem na wigilji w koszarach u żołnierzy oddziału przybocznego.

Na pasterce byłem z synem, w jednym z kościołów parafjalnych.

Po tych nagłych wstrząsach i tragicznych przeżyciach spędziłem dni świąteczne w zupełnej ciszy i spokoju, nie ruszając się z domu.

30 grudnia odbył się sąd doraźny nad zabójcą Prezydenta Narutowicza — został skazany na rozstrzelanie. (Prezydent w końcu stycznia 1923 r. wyrok zatwierdził).

W ścianach Belwederu czułem się już zupełnie obcym.

Szefem Kancelarii Cywilnej został mianowany p. K. Lenc, a sekretarzem osobistym hr. M. Potocki.

P. Car i ja ostatni raz braliśmy urzędowy udział w uroczystościach noworocznych: przy przyjęciach zrana w Belwederze, a od 10 $\frac{1}{2}$  na zamku.

Po nabożeństwie i przemówieniach okolicznościowych, było cercle, potem złożenie wieńca u pomnika Mickiewicza i defilada wojskowa.

O 5-ej wspólnie z p. Carem składaliśmy noworoczne życzenia w Imieniu Prezydenta Kardynałowi. Wieczorem był spektakl (dawano operą „Hrabina”), w przerwach było przyjęcie w łóż Prezydenta.

Spotykaliśmy Nowy Rok w szczupłym gronie rodziny i bliskich.

Rok w którym miałem tyle przeżyć skończył się...

Kraj cały przeżywał w tym roku poważne wewnętrzne wstrząsy, a przede wszystkim kryzys ekonomiczny: widmo bankructwa ekonomicznego z każdym miesiącem stawało się coraz groźniejszym.

Wspomniałem, że w końcu 1921 roku za franka płacono się około 40 marek, a w końcu 1922 r. — 1300...

Widoki na poważniejszy kredyt zagraniczny urwały się zupełnie, o większej pożyczce wewnętrznej nie można było i myśleć potem jaki los spotkał zaciągane przed tem pożyczki wewnętrzne.

Dewaluacja zwiększała się. Z każdym miesiącem zsuwaliśmy się w ekonomiczną przepaść...

W kraju szerzyła się coraz większa gorączka spekulacyjna. Na giełdzie grali nawet uczniowie szkół średnich.

W tych warunkach żadne poważne przedsiębiorstwo krajowe nie mogło prosperować, bo nie było podstaw do normalnej produkcji i kalkulacji.

Te warunki ekonomiczne stworzyły niebywały układ życia w Warszawie.

W restauracjach, w teatrach — wszędzie, było pełno „nowych ludzi”, rzucających się w oczy, z których bardzo wielu, jak pęcherze po deszczu — prędko znikają bez śladu...

Ludzie nawet poniekąd zrównoważeni i logiczni wydawali ogromne sumy, wiedząc, że pieniądź krajowy niema wartości i oszczędności są bezpodstawne.

Zaufanie do rządu w społeczeństwie znika...

Na 9 Stycznia byli zaproszeni do Belwederu wszyscy byli ministrowie skarbu dla omówienia stanu finansowego i wspólnego ułożenia sposobu naprawy. Wszyscy zbierali się w moim urzędowym gabinecie u Prezydenta. Nie brał udziału tylko p. Biliński — bo był już ciężko chory, a brali stały udział pp. Englich, Karpiński, W. Grabski, Michalski, Steczkowski, Jastrzębski, Markowski (czasowy kierownik



ministerstwa) i szefowie departamentów pp. Zaczek i Byrk.

Po tych naradach wkrótce tekę ministra skarbu obejmuje p. W. Grabski...

Nie zbyt wiele nadziei pokładała poważniejsza część społeczeństwa i w nowoobranym Sejmie, gdzie od samego zarania rozpoczęcia prac jaskrawo wychodzi na jaw zażarta walka partyjna.

Przytem trzeba zaznaczyć, że chyba żaden parlament na świecie nie ma tyle „klubów” jak nasz (o ile się nie myłę — do 20!)

Czerwoną nicią przechodzi protekcjonizm dla „swoich”.

Skład komisij sejmowych decyduje tylko „klucz” partyjny.

Fachowość, wiedza, doświadczenie — i w Sejmie i na urzędach — to są przeżytki, obecnie nikomu nie potrzebne.

Dla orientacji dość zaznajomić się z listą członków różnych komisij.

Dla przykładu mógłbym wskazać na komisję wojskową, w zespole której nie znalazłem nazwisk ani jednego wojskowego z zawodu: kilku oficerów rezerwy, kilku byłych podoficerów, lekarzy, mecenasów i nawet posłów nie mających żadnego cenzusu...

Co prawda jeden z humorystów jest zdania, że wogóle trzeba wystrzegać się fachowców, bo „fachowiec” podobnym jest do fluksji — zawsze jednostronny.

Ale zechcą się zgodzić czytelnicy, że organa opiniodawcze i decydujące bez fachowców, to także zakrawa na humorystkę, ale smutną w następstwach na dłuższą metę...

Co prawda krytykować to łatwo, i szczególnie

w naszym społeczeństwie „krytyków” nie tylko nie brak, a może i zbyt za dużo.

Dając „film” moich przeżyć uważam za swój obowiązek społeczny dawać tylko ściśle prawdziwe. „wyświetlenie”.

Ale „wyświetlając” to wszystko razem z tem zaznaczam, że nie wolno nikomu zniechęcać się i opuszczać rąk — trzeba każdemu robić swoje i — przetrwać i wytrwać!..

Wyrasta nowe pokolenie, wychowane w wolnej Ojczyźnie, które nie zaznało na sobie tych strasznych kajdanów niewoli i przedewszystkiem niewoli ducha, myśli...

W tej chwili przychodzą mi na myśl, Ci „nieznani żołnierze” — nasi bohaterzy i bohaterki ducha i czynów, kości których porozrzucane są prawie na całej kuli ziemskiej, którzy bądź ofiarując życie, bądź ginąc w katogach Sybirskich, bądź przez długie szeregi lat, przymierając z głodu i nędzy — przechowywały ideały Narodowe — ich wiara i praca ofiarna dużo, dużo przyczyniła się do przechowania naszych ideałów narodowych i do zmartwychwstania naszego Narodu!..

Kończąc te może zbyt za szkiecowe i krótkie wspomnienia, czuję się — wzruszonym i smutnym...

I znów cisną się pod pióro — już zacytowane w pierwszej części moich wspomnień słowa poety:

Na pamiątkę lat przeżytych,  
Ideałów niezdobytych,  
Cóż zostało?

Na tle przeżyć osobistych pozostato wiele dobrych, nawet wzruszających wspomnień i w tem gó-



ruje ten okres kiedy doczekałem się możliwości pracować u siebie w kraju, dla swoich — ale są i inne: pełne smutku i goryczy...

Może praca moja społeczna i nie przyniosła tej korzyści do której dążyłem bo w b. Rosji pracowałem przez długie lata przeważnie w przemyśle wojennym i na polu naukowym jako profesor artylerji, może na tych stanowiskach które zajmowałem w kraju inni pracownicy byłiby pożyteczniejsi, alenienie było ani czasu ani nawet prawa wybierać rodzaju pracy: spełniałem to, co mnie zalecono — o ile to nie szło w brew moim zasadom i przekonaniom...

Kiedys w rozmowie zasadniczej z moim zwierzchnikiem przypominałem mu o ultimatum, które ongiś Gambetta postawił Mak Mahonowi — „se soumettre ou se demaitre” — (zastosować się, albo wycofać się) zaznaczyłem mu, że ja należę do tych którzy nie mogą „zastosowywać się”, — jeżeli od nich wymaga się to, co nie zgadza się z ich przekonaniami — a mogę tylko, w każdej chwili — odejść...

Na tem zakończam mój meldunek społeczny z moich obserwacyj i przeżyć przez pierwsze lata powrotu do kraju.

KONIEC 2-EJ CZĘŚCI.

## SPOSTRZEŻONE OMYŁKI.

| Str.: | Wiersz. | Jest:                         | Powinno być:                                                |
|-------|---------|-------------------------------|-------------------------------------------------------------|
| 9     | 9       | nalepszezi                    | najlepszezi                                                 |
| 16    | 7       | poprosił                      | zaprosił                                                    |
| 28    | 21      | Fo --                         | Fon —                                                       |
| 47    | 30      | delegacje                     | delegacyj,                                                  |
| 57    | 1       | Przystępując                  | Przystępuję                                                 |
| 61    | 1       | skorygowanie                  | skorygowanie, co nie nastąpiło                              |
| 65    | 24      | Pina                          | Torina.                                                     |
| 86    | 18      | Z bólem i t. d. (aż do końca) | Opuścić (bo to już było na s. 35)                           |
| 92    | 29      | tyko                          | tylko                                                       |
| 96    | 22      | w Paryżu,                     | w Paryżu:                                                   |
| 96    | 25      | Jaworzyna: sprawa i t. d.     | Jaworzyna (raz te opuścić do—                               |
| 107   | 34      | że ostatecznie (              | ostatecznie                                                 |
| 108   | 2       | ) . . . .                     | . . . .                                                     |
| 108   | 4       | konklawe                      | conlawie                                                    |
| 116   | 25      | skirmuntem                    | Skirmuntem —                                                |
| 127   | 30      | przyjechaliśmy                | przyjechaliście                                             |
| 135   | 8       | pewne „ścisle“                | „ścisle“ danne                                              |
| 151   | 30      | urzędowym gabinecie           | urzędowym gabinecie nim nie<br>rozpocznęły się posiedzenia. |









67449/  
12